



Cudownie ocalona

Poruszająca historia dziewczynki,
która przeżyła katastrofę samolotu

Bahia Bakari
przy współpracy Omara Guendouza

Bakari Bahia

Cudownie ocalona

„To cud. Po gwałtownym upadku do wody i dziewięciu godzinach w oceanie zostałam odnaleziona żywa. Zostałam uratowana. Dostrzegł mnie rybak. Jestem jedyną osobą spośród 153 pasażerów Airbusa 310-300 lecącego na Komory, która przeżyła tę katastrofę.“

Bahia Bakari miała 14 lat, gdy wraz z matką wsiadła do samolotu na paryskim lotnisku. Chciały odwiedzić krewnych i miło spędzić wakacje w kraju przodków.

Niestety ta historia skończyła się tragicznie – samolot runął do Oceanu Indyjskiego. Co czuła Bahia, gdy ocknęła się w wodzie? Co myślała, gdy dryfowała w ciemnościach po wzburzonym morzu, uczepiona kawałka rozbitego kadłuba? Co przeżywała, gdy widziała odpływających ratowników i nie miała siły, by ich zawołać? O tym wszystkim opowiedziała w tej książce.

Przedmowa

Wszyscy zawsze mi powtarzali, że jestem dzielna. Uczepiłam się tej myśli ze wszystkich sił. Trzymałam się mojego prowizorycznego koła ratunkowego, a zwłaszcza trzymałam się życia. Dla matki, dla rodziny, dla Elodie. Myślałam, że umrę, że przeżywam ostatnie chwile istnienia i za moment moje ciało pograży się w otchłani. Sama, zanurzona w bezkresie oceanu, miałam wrażenie, że odchodzę, aby już nigdy nie powrócić.

Kurczowo trzymałam się szczątka samolotu, zalewana przez fale myślałam, że już nigdy nie zobaczę moich rodziców, rodzeństwa, koleżanek ze szkoły.

To cud. Po gwałtownym upadku do wody i dziewięciu godzinach w oceanie zostałam odnaleziona żywa. Dostrzegł mnie z daleka rybak. Jestem jedyną osobą spośród stu pięćdziesięciu trzech pasażerów Airbusa 310-300 lecącego na Komory, do kraju moich przodków, która przeżyła tę katastrofę.

Do dzisiaj nie rozumiem, dlaczego właśnie ja zostałam wybrana przez los? Nęka mnie to pytanie. Dlaczego nie mama? Dlaczego nie ten chłopak, który siedział obok mnie w samolocie i grał na konsoli Nintendo DS?

Tamtej nocy, 30 czerwca 2009 roku, miał miejsce cud. Otarłam się o śmierć, która zabrała moją matkę, ale mnie oszczędziła. Po długich godzinach spędzonych w

wodzie, których nigdy nie zapomnę, narodziłam się powtórnie.

Teraz pragnę zaopiekować się, najlepiej jak potrafię, moim ojcem, braćmi i siostrą. Muszę zastąpić im matkę, muszę zadbać, aby niczego im nie zabrakło.

* * *

Nazywam się Bahia Bakari. Urodziłam się w Evry, w departamencie Essonne, 15 sierpnia 1995 roku. Mieszkam w Corbeil-Essonnes. Dzisiaj mam piętnaście lat. Jestem Francuzką, ale moi rodzice urodzili się na Komorach.

Jestem zwyczajną dziewczyną, której przytrafiło się coś nadzwyczajnego. Opowiem wam moją historię.

Wydaje mi się, że śnię

Moje ciało unosi się i opada w rytm fal. Jest noc. Dookoła panują zupełne ciemności. Boli mnie lewe oko. W ustach czuję nieprzyjemny smak, jakby paliwa, od którego chce mi się wymiotować. Jestem zmęczona i ciężko mi oddychać.

Z całych sił trzymam się fragmentu jakiegoś dużego przedmiotu, który służy mi za koło ratunkowe. Pode mną otchłań oceanu. Jeżeli puszczę ten kawałek metalu, utonę.

Z wyczerpania i braku nadziei zamykam oczy. Warkot silnika samolotu przeszywa powietrze. Na początku wydaje mi się, że śnię.

Przylecieli po mnie. Szukają mnie od wielu godzin i wreszcie dostrzegą, i uratują. Budzi się we mnie nadzieja, chcę krzyczeć, chcę zsunąć się z mojej prowizorycznej tratwy i popłynąć tam, skąd dochodzi dźwięk. Ale ciało odmawia posłuszeństwa.

Gdzie jest moja mama? Czy dotarła już do Moroni, stolicy Komorów? Może jest w samolocie, który słyszę nade mną, albo czeka na lotnisku. Na pewno to ona zawiadomiła ratowników, że wypadłam z samolotu tuż przed lądowaniem, a teraz bardzo się o mnie martwi. Zaczyna tlić się we mnie iskierka nadziei. A więc szukają mnie. Mama nie odpuści, dopóki mnie nie odnajdą. Musi być zdenerwowana i przestraszona, ale wszystko jej wytłumaczę.

Słyszę zbliżający się odgłos silnika. Maszyna przelatuje tuż nade mną. Nie śnię. Podnoszę głowę. Wypatruję samolotu na niebie powtórnie, ale nie nadlatuje. Jest noc i nikt mnie nie zauważył. Zrozpaczona słyszę, jak warkot silnika cichnie i zanika w oddali.

Dla mnie oznacza to koniec. Zimno mi. Płaczę ze złości i z żalu, że umrę w samotności. Zabierze mnie okrutne morze. Zabierze mnie, bo nikt się o mnie nie upomina.

Umrę i nie zobaczę już mojej rodziny. Tak bardzo chciałabym się znaleźć w objęciach mamy. Gdzie ona teraz jest? Chwilę temu rozmawiałyśmy w samolocie. Siedziałam przy oknie i z dużym zainteresowaniem patrzyłam na ocean z wysoka. Mocno przycisnęłam czoło do szyby. Widocznie to wtedy wypadłam przez okno.

* * *

Przypominam sobie smutną i zatroskaną twarz mamy na lotnisku, kiedy zegnała się z tatą. Tato całuje mnie w policzek i wypomina zły humor. Wydawało mu się, że nie jestem zadowolona.

Gdyby zobaczył mnie w tej chwili... Czuję, że mam zranione lewe oko i policzek. Dryfuję na falach i wszystko mnie boli.

Dźwięczą mi w uszach słowa taty wypowiedziane przed wylotem.

– Zobaczysz babcię i dziadka. Baw się dobrze, Bahiu.

Mama marszczy czoło. Patrzy na tatę.

– Kassimie, zostajesz sam. Uważaj na dzieci.

– Nie martw się Azizo, wszystko będzie dobrze.

Słyszę te słowa w myślach aż do bólu. „Wszystko będzie dobrze”. „Wszystko będzie dobrze”. „Wszystko będzie dobrze”.

Widzę, jak tato bardzo mocno przytula mamę. Gładzi ją po ramieniu i po twarzy, jakby miał jej już nigdy nie zobaczyć. Wie, że mama zawsze chce mieć pewność, że on dobrze zajmuje się dziećmi podczas jej nieobecności. Tato całuje mamę najpierw w policzek, potem z czułością w usta. Rodzice wymieniają ostatnie spojrzenie. Zegnamy się i bez przeszkód przechodzimy przez odprawę celną.

Patrzę, jak tato odchodzi sprężystym krokiem, ale przygarbiony, jakby pod nieobecność mamy przytłaczał go jakiś ciężar. Spoglądam na mamę. Utkwiła wzrok w plecach taty, który powoli znika w tłumie. Jest dumna ze swojego przystojnego męża i najdrobniejszy szczegół jego wyglądu nie ujdzie jej uwadze. Moi rodzice znają się od bardzo dawna i z każdym dniem wspólnego życia coraz lepiej poznają swoje wady. Są jak dwa dopływy, które łączą się w jednej rzece i razem, spokojnie płyną aż do morza.

Perfumy mamy

Rozglądam się dookoła. Powierzchnia wody jest coraz bardziej wzburzona. Widzę już tylko czarne fale, które zalewają mnie gwałtownie i rzucają mną to w górę, to w dół. Fale robią się coraz większe. Wydaje mi się, że niektóre są trzy razy wyższe od mojego ojca. Czuję, jak ogarnia mnie panika. Wciągam się na moją prowizoryczną tratwę i wczepiam palce w jej brzegi. Każda fala stanowi zagrożenie życia. Boję się, że któraś zatopi ten przedmiot, na którym pływam, i utonę razem z nim.

Nagle czuję się bardzo zmęczona. Musiałam uderzyć o coś głową. Wpadam w panikę. Nie chcę umrzeć. Każdy oddech sprawia mi ból, ale zmuszam się do powolnego głębokiego wdychania i wydechania powietrza, jak pokazywał kiedyś w szkole nauczyciel WF-u.

Próbuję ułożyć się dokładnie na środku płaszczyzny, której się uczepiłam, i obserwuję fale. Nie przestają atakować. Jeśli burza będzie się nasilać, fale złamią ten kawałek żelastwa, na którym próbuję przetrwać, i mnie pochłoną. Mam nadzieję, że przynajmniej utonę szybko.

Podnoszę głowę, żeby obserwować fale. Teraz o wiele częściej słona woda zalewa mi twarz. W pewnym momencie wlewa mi się do nosa i zaczynam kasłać. Woda ma posmak benzyny. Zachłystuję się tym świństwem. Z pewnością niedawno statki wylewały tu paliwo do morza.

To dlatego czuję w ustach taką wstrętną gorycz, która pomieszana z solą wypala mi gardło, płuca i żołądek. Od tego smaku chce mi się jeszcze bardziej pić. Zaciskam usta i opuszczam głowę. Nogi mam coraz bardziej zdrętwiałe od chłodnej wody.

Walczę z organizmem, żeby nie zasnąć i nie puścić mojego koła ratunkowego. Muszę być przytomna. Zmuszam się do przypomnienia sobie, co się wydarzyło. Wszystko wydaje się takie nierealne! Jeszcze dziś rano moje życie było całkiem „normalne”, przeciętne, aż tu nagle coś się stało i znalazłam się sama na środku Oceanu Indyjskiego!

* * *

Rano obudziłam się o wiele wcześniej niż zazwyczaj. Spałam krótko. Miałam niespokojne sny. Byłam smutna i podniecona zarazem. Z pewnością z powodu czekającej mnie podróży...

Schodzę z górnego łóżka bardzo ostrożnie, żeby nie obudzić rodzeństwa, i cichutko wychodzę z pokoju. Mama jest już na nogach. Myje się w łazience, maluje. Potem ja się szykuję, a po mnie dziś wyjątkowo tato. Jest jeszcze ciemno. Słyszę, jak mama budzi tatę. Kiedy wychodzę z łazienki, mama jest już ubrana. W pokoju po cichu zakładam czarne dzinsy, czerwony T-shirt i buty. Szybko się czeszę. Mama z czułością całuje mojego brata Badrou i moją siostrę Badian, którzy śpią bardzo mocno.

Kiedy tato wychodzi z łazienki, mama siedzi w salonie na kanapie i tuli w ramionach Badawyego. Płacze. Łzy niczym perły spływają powoli po jej policzkach. Badawy to mój najmłodszy brat. Ma tylko dwa i pół roku. Badawy trochę marudzi, bo jest rozespany. Jego ładna, kształtna główka rysuje się w półmroku. Tato nie jest zadowolony. Po cichu strofuje mamę.

– Azizo! Dlaczego obudziłaś Badawy’ego? Połóż go do łóżka!

Mama spogląda na tatę. Jej mokre oczy mówią, że będzie tulić syna tak długo, jak będzie chciała. Tato nie protestuje. Po minucie, która mnie wydaje się bardzo długa, mama wstaje i kładzie Badawyego do łóżka, tuż obok Badian, po czym dyskretnie wyciera łzy, ale nic nie mówi. Nigdy jej takiej nie widziałam, mimo że już nieraz wyjeżdżała na wakacje bez dzieci. Zachowuje się, jakby coś przeczuwała.

* * *

Te wspomnienia ściskają mi gardło. Ja również chcę się przytulić do ciepłego ciała mojego młodszego brata. Po trochu odzyskuję nadzieję. Będę walczyć o przetrwanie dla niego.

Wszędzie wokół widzę plamy paliwa. Aby zapomnieć o przenikliwym zapachu benzyny, myślę o perfumach mamy, których czasami używam.

Mama pachnie zawsze perfumami *Evidence* Yves

Rocher. Ta mieszanka jaśminu i paczuli bardzo do niej pasuje. Zapach jest świeży, żywy i gorący jak ona.

Jak jest dziś ubrana? Muszę to sobie przypomnieć, żebym mogła dostrzec ją w tłumie, kiedy już mnie odnajdą. Mogą mnie przecież nie rozpoznać, gdyż prawdopodobnie mam poranioną całą twarz. Bardzo mnie bolą oko i policzek.

Mama wygląda pięknie. Jest w dżinsowych spodniach do pół łydki, białej bluzce i dżinsowej dopasowanej marynarce. Widzę ją wyraźnie i muszę ten obraz zapamiętać...

Mówią, że jestem jak skóra zdarta z mamy. Tato ciągle mi to powtarza. Taka sama twarz, kropka w kropkę, taka sama delikatność rysów, choć być może teraz wyglądam trochę inaczej.

Różnimy się natomiast charakterami. Mama cały czas się uśmiecha, promienieje, jest otwarta do ludzi, z kolei ja wolę stać z tyłu, zachowuję dystans. Zadaję sobie pytanie, jak ona to robi? Podziwiam ją. Bardzo chciałabym być taka jak ona: nie bać się, że ktoś będzie mnie oceniał, chciałabym być kochana przez wszystkich, być osobą, której towarzystwa i dobrego humoru wszyscy szukają. Jeżeli tylko przeżyję, jeżeli tylko ktoś mnie uratuje, to przyrzekam, że będę taka jak ona.

Muszę o tym pamiętać... Inne obrazy przelatują mi przez głowę niczym błyskawice. Jeśli nie chcemy się spóźnić na samolot, musimy już wyjeżdżać. Mama sprawdza paszporty i bilety, dokumenty wkłada do czarnej

podręcznej torebki, którą dokładnie zamyka. Włosy upięła w kok. Widać, że nie pierwszy raz jedzie w długą podróż.

Youssouf, kuzyn mamy, przyjechał po nas swoim fordem fiesta. Zjawił się o czwartej nad ranem. Towarzyszy nam tato. Wziął w pracy dzień wolny. Badian, Badrou i Badawy zostaną w domu sami. Poczekają na powrót taty: dwie, trzy godziny, jeżeli nie będzie korków. Youssouf rusza, kierunek lotnisko imienia Charleśa de Gaulle'a w Roissy pod Paryżem. Robi się jasno, wstaje nowy dzień. W samochodzie zapada przejmującą cisza. Tato otwiera szybę. Od czasu do czasu odwraca się i spogląda na mamę, która razem ze mną siedzi z tyłu. Youssouf włącza radio. Nie słucham tego, co mówi spiker, nie mogę się skupić. Zwłaszcza że wiadomości nie są zbyt wesołe. Zresztą nigdy nie są, jakby ludzie woleli słuchać złych informacji niż dobrych. A przecież mamy tylko jedno życie i każdy chce przeżyć je szczęśliwie.

Wybiórczo jednak słucham:

„Porwany w połowie kwietnia belgijski statek »Pompei« został wczoraj odbity z rąk piratów...”.

„Pierwsze wyniki sekcji zwłok Michaela Jacksona, cztery dni po śmierci, ujawniły, że był wychudzony, łysy i jego ciało nosiło ślady pokłucia igłami...”.

„W Wielkiej Brytanii strach przed świńską grypą..

„Miesiąc po katastrofie lotniczej atomowa łódź podwodna »L'Emeraude« oraz statki »Pourquoi Pas« i »Mistral« są ostatnimi jednostkami marynarki francuskiej,

kontynuującymi u wybrzeży Brazylii poszukiwania czarnych skrzynek samolotu Air France 447..

Ta ostatnia informacja działa na mnie niczym zimny prysznic. Mama od razu wyczuwa moje zdenerwowanie i mnie uspokaja. Zapewnia, że mimo poważnych wypadków samoloty pozostają najbezpieczniejszym środkiem podróżowania. Nie zmienia to faktu, że miesiąc temu któryś spadł do morza. Staram się zbytnio o tym nie myśleć, ale teraz, dryfując samotnie na środku oceanu, nie mogę zapomnieć i o tamtej rozmowie. Chce mi się płakać. Właściwie przewidziałam wypadek. To było przeczucie.

Próbuję przepędzić tę myśl. Jeżeli zacznę się nad sobą użalać, nie będę miała siły, by walczyć o przetrwanie, czekając na pomoc. Bezwzględnie powinnam myśleć wyłącznie o rzeczach przyjemnych, na przykład o ostatnich chwilach, jakie spędziłam z tatą i mamą.

Aby rozładować atmosferę w samochodzie, tato dzwoni ze swojej komórki do rodziny na Komorach. Przekazuje ostatnie szczegóły dotyczące naszej podróży oraz dokładną godzinę przylotu. Nie wiem dlaczego, ale tego ranka czuję się nieswojo. Mama tak samo nie jest radosna jak zwykle. Wygląda na zmęczoną i nic nie mówi. Tato się denerwuje. Długo oszczędzał na naszą podróż, a my obie siedzimy smutne.

– Co się dzieje, Azizo? Nie cieszysz się? Można by pomyśleć, że śpisz.

– Nie, nie śpię.

Ze mnie też tato nie jest zadowolony.

– A ty, Bahiu, dąsas się? No nie, naprawdę nie wyglądasz jak dziewczyna, która jedzie na wakacje.

– Tato, jestem po prostu zmęczona.

– Bahiu, nie oszukuj, wcale się nie cieszysz, że wyjeżdżasz. Przecież widzę, myślami błędzisz gdzie indziej.

To prawda, powinnam być bardziej podekscytowana, a ja siedzę milcząca i przygaszona. Tato świetnie wyczuwa mój nastrój.

– Bahiu, korzystaj z wakacji. Zobaczysz swoich dziadków, zobaczysz kuzynki i kuzynów, postaraj się to wykorzystać.

– Wiem, tato, spróbuję.

Im bardziej przypominam sobie ten dzisiejszy poranek, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że już to, co się wydarzyło w drodze na lotnisko, było ostrzeżeniem. Na przykład tato zauważył, że jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby mama przed wyjazdem obudziła jedno z dzieci i płakała, tuląc je w ramionach. Mama nic nie powiedziała, ale wyraz jej twarzy zdradzał, co naprawdę czuła.

Wreszcie dojeżdżamy na lotnisko. Youssouf parkuje samochód. Tato wysiada pierwszy i wyjmuję walizki z bagażnika. Potem razem z Youssoufem towarzyszą nam do terminalu. Od razu kierujemy się do stanowiska linii lotniczych Yemenu. Tato kupił bilety w Yemenu, bo najtaniej można dolecieć do Moroni właśnie przez Sanę w Jemenu. Pamiętam, jak mówił:

– Można też wybrać się liniami Air Austral, ale to o

wiele drożej!

Czynne jest tylko jedno stanowisko odprawy. Przed nami stoi jedna osoba. To chudy jak szczapa Komoryjczyk, który nie chce uiścić dodatkowej opłaty za nadbagaż. Pracownica lotniska domaga się pieniędzy, Komoryjczyk odmawia, kłóci się przez co odprawa się przedłuża. Jego walizki czekają na taśmie. Rzeczywiście są ogromne. Być może są wypełnione prezentami, na które ktoś czeka w kraju.

Wszyscy zaczynamy się niecierpliwić. Wreszcie przychodzi wysoka brunetka i zaprasza nas do drugiego stanowiska. Nasze bagaże odprawiamy sprawnie i bez problemów. Na szczęście nie musimy nic dopłacać.

Mama bierze karty pokładowe. Po pożegnaniu z tatą i Youssoufem przechodzimy przez odprawę celną. Mijamy bramkę i wjeżdżamy ogromnymi ruchomymi schodami do hali odlotów. Jest olbrzymia. Z łatwością można się tu zgubić. Nie wiemy, jak się poruszać po tym labiryncie pomieszczeń i korytarzy, mimo że wszędzie wiszą albo stoją tablice informacyjne. Mama rozgląda się w nadziei, że zobaczy kogoś znajomego. Podchodzi w tłumie do kobiety, która wygląda na Komoryjkę. Pyta, jak znaleźć drogę do właściwego samolotu.

– Strasznie to wszystko skomplikowane. Pogubiłyśmy się z córką!

– O tak, zgadzam się! Ja też zupełnie się w tym nie orientuję. Wszystko jest źle oznakowane.

Wreszcie udaje się nam dotrzeć na miejsce. Hala

odlotów przypomina szeroką ulicę z poczekalniami po jednej stronie i sklepami, kawiarniami oraz restauracjami po drugiej. Chodzimy po sklepach. Nigdy nie widziałam tyłu perfum na półkach. Podobnie jest z papierosami pakowanymi w różnej wielkości kartony oraz alkoholami z różnych stron świata. Wchodzimy do sklepu z bardzo eleganckimi torebkami. Na ścianie wisi zdjęcie Isabelle Adjani, która zdaje się nas obserwować. Była genialna w *La journee de la jupe*. Grała w tym filmie sfrustrowaną nauczycielkę francuskiego w szkole na przedmieściach, która sterroryzowała niesfornych uczniów za pomocą rewolweru znalezionej w plecaku jednego z nich. Mama porównuje ceny. Mówi, że jest tu trochę taniej niż w mieście, ale nic nie kupujemy. Nagle wzywają nas na pokład. Samolot nie ma opóźnienia. Bardzo szybko wsiadamy.

Mamy dwa miejsca z przodu samolotu, oba z boku, w tym jedno przy oknie. Siadam przy oknie. Cieszę się, że będę mogła obserwować z wysoka chmury, a także ziemię, pasma górskie, morze... Samolot startuje. Nie boję się, wręcz przeciwnie, lubię latać. Rozglądam się. Wśród pasażerów dostrzegam kilku Komoryjczyków. Stewardesy roznoszą perfumowane chusteczki oraz tace z sokiem pomarańczowym i magdalenkami. Młody chłopak, blondyn ze zmierzwioną czupryną, słucha muzyki z iPod'a. Porusza przy tym rytmicznie głową. Mimo że ma słuchawki na uszach, donośne hardrockowe brzmienia gitar docierają aż do mojego miejsca. Mama bierze z

kieszeni fotela przed nią kolorowe czasopismo. Na okładce bardzo ładna, ale i bardzo szczupła blondynka w skąpej hipisowskiej sukience prezentuje swoje chude jak patyki ramiona i nogi. Tytuł głosi: „Jak schudnąć kilka kilogramów przed wyjściem na plażę?”. Biedaczka, jeśli schudnie jeszcze parę gramów, stanie się przezroczysta i będzie wyglądać jak własny cień!

Lot do Marsylii mija szybko. Samolot zaczyna podchodzić do lądowania. Wpadamy w turbulencje spowodowane gorącym powietrzem bijącym od ziemi. Zapinam pas i chwytam mamę za ramię. Mama mówi, żebym się nie denerwowała, bo gdy się przelatuje nad południem Francji, gdzie panują okropne upały, turbulencje zdarzają się często. Przed lądowaniem przyklejam nos do okienka, żeby zobaczyć morze. Jest piękna pogoda – nie tak, jak w Paryżu, gdzie padało. Morze pobłyskuje srebrzystymi refleksami. Mama cieszy się, że lądujemy. Obserwuję ją ukradkiem. Uważam, że jest bardzo piękna. Wygląda bardzo młodo, na dwadzieścia lat. Napięcie, które towarzyszyło mi od wyjazdu z domu, powoli mija. Zaczynam wierzyć, że jestem już na wakacjach.

Międzyładowanie nie trwa długo. Znowu zajmujemy miejsca i zapinamy pasy. Mama mówi, że w Marsylii do samolotu ma wsiąść jej kuzynka. Ponieważ nadal siedzimy z przodu, niedaleko miejsc stewardes i drzwi, widzimy ludzi wchodzących na pokład. Są to głównie Komoryjczycy. Wypatrujemy kuzynki, ale bezskutecznie.

Gdyby weszła, z pewnością byśmy ją zauważyły. Mama uznała, że widocznie kuzynka musiała polecieć innymi liniami lotniczymi. Drzwi samolotu zostają zamknięte. Stewardesy ponownie instruuja pasażerów o zasadach bezpieczeństwa. Samolot odlataje w kierunku Sany w Jemenie. To ostatni przystanek przed Moroni.

Sama na świecie

A by nie wpaść w panikę, staram się zrozumieć, co mi się przydarzyło. Przed chwilą siedziałam spokojnie w samolocie i rozmawiałam z mamą, a teraz dryfuję na otwartym morzu. Nie mam pojęcia, co się stało. Prawie nic nie pamiętam z ostatnich minut. Wiem tylko, że nagle uszy zabolaly mnie tak, jakby ktoś przekłuł je sztyletem. Najpierw był chyba jakiś wybuch, po którym usłyszałam krzyki, a potem... Chyba spadłam z bardzo wysoka do wody.

Powinłam była posłuchać mamy i nie wyglądać przez okienko. Być może za bardzo się wychyliłam i dlatego wypadłam. Może to przez turbulencje, bo trzęsło nami tak, że trudno było się utrzymać w fotelu. Jedna ze stewardes poprosiła przez mikrofon, żeby pasażerowie zapięli pasy, ponieważ zbliżamy się do wybrzeża i niedługo będziemy lądować. W jej głosie słychać było zdenerwowanie. Kilkakrotnie powtarzała prośbę o zajęcie miejsc, gdyż niektórzy pasażerowie nadal stali w przejściu i rozmawiali. Byłam zadowolona, że lądujemy. Miałam już dość długiego siedzenia w ciasnym fotelu. Razem z mamą marzyłyśmy już tylko o tym, żeby wylądować i spotkać się z rodziną, która czekała na nas na lotnisku. Nagle samolotem zaczęło jeszcze bardziej trząść. Wiele razy podczas tego lotu maszyna wpadała w turbulencje, ale teraz działo się coś naprawdę złego, bo stewardesy

wyraźnie się denerwowały.

Potem znenacka światła w samolocie zaczęły mrugać, na przemian gaśły i się zapalały. Pasażerowie zaczęli panikować. Stewardesy uspokajały wszystkich, mówiąc, że nie ma się czego bać. Twierdziły, że podczas turbulencji i złej pogody światło czasami gaśnie, i że jest to normalne. Mama sprawiała wrażenie zupełnie spokojnej. Uśmiechała się do mnie ufnie. A potem nagle poczułam jakby poraził mnie prąd. Przypominało to wybuch ładunku elektrycznego, który rozchodził się stopniowo po całym moim ciele. Chciałam zawołać mamę, ale nie mogłam ani mówić, ani krzyczeć. Moje ciało było naprężone do granic możliwości, jakbym za chwilę miała eksplodować. Później faktycznie nastąpił ogromny wybuch, hałas nie do wytrzymania, a potem nagle zapadła ciemność. Całkowita, absolutna, unicestwiająca ciemność...

* * *

Fale robią się coraz większe i, żeby się nie zsunąć, muszę się trzymać brzegów mojej tratwy z całych sił. Przebiegają mi przez myśl sceny z filmu *Cast Away. Poza światem*. Mam wrażenie, że przeżywam takie same męki, jak jego główny bohater, grany przez Toma Hanksa. Jego odwaga dodaje mi teraz otuchy.

Oglądałam ten film z mamą, Badian, Badawym i Badrou ostatniego wieczoru przed naszym wylotem.

Jeszcze jeden znak... *Cast Away*. *Poza światem* to historia mężczyzny, którego samolot rozbija się na skutek gwałtownej burzy na środku Pacyfiku. Fale są ogromne, bohaterowi grozi utonięcie. Trzyma się kurczowo ratowniczego pontonu i tak udaje mu się dopłynąć do bezludnej wyspy, gdzie próbuje w miarę normalnie żyć. Buduje prowizoryczne schronienie, szuka słodkiej wody, gromadzi zapasy pożywienia. Gdy zaczyna go boleć ząb, sam wyrywa sobie wielkiego trzonowca. Strasznie mi go żal. Z coraz większym trudem znosi samotność. Jest zdesperowany, bo już wie, że nikt nie będzie go szukać na tym odległym skrawku lądu. Postanawia zbudować tratwę, na której będzie mógł odpłynąć z wyspy.

Czy z kawałkiem blachy, którego się uczepiłam, też dodryfuję na bezludną wyspę? Czy przy tak dużych falach uda mi się dotrzeć na stały ląd? A może prądy zniosły mnie daleko od wybrzeża Komorów? Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie jestem, i to mnie przeraża. Wokół panuje całkowita ciemność.

Aby nie wpaść w panikę, zmuszam się do przypomnienia sobie ostatniego wieczoru spędzonego w rodzinnym gronie. Mama przygotowała moje ulubione danie – ryż z kokosem i mięsem oraz *madabę*, czyli liście manioku zmiksowane z mleczkiem kokosowym. Przyjemny, słodki zapach czuć nawet w salonie. Badawy biega wokół stołu i bawi się w Spider-Mana. Strasznie przy tym hałasuje. Przy każdym okrążeniu łapię go za jego uroczą główkę i całuję w czoło.

Byliśmy wszyscy w domu. Mam szczęście, bo żyję w kochającej się rodzinie i wprost uwielbiam moich rodziców, a także młodsze rodzeństwo: dwóch braci i siostrę.

Ogarnia mnie smutek i zwątpienie. Przeczuję, że to mogły być nasze ostatnie chwile w szóstkę. Chcę wszystko sobie przypomnieć z tego pożegnalnego wieczoru, chcę przypomnieć sobie każdego członka mojej rodziny z osobna, by zabrać ich wszystkich ze sobą. Prawdopodobnie nigdy więcej ich nie zobaczę.

* * *

Badian siedzi grzecznie na kanapie. Patrzy na nas spokojnie, ale nic nie mówi. Trudno odgadnąć, o czym myśli. Czy będzie za mną tęsknić? Czy beze mnie będzie się nudzić? Na jej twarzy nie widać emocji. Moja siostra jest bardzo grzeczna jak na jedenastoletnią dziewczynkę. Badrou wchodzi i wychodzi z pokoju, nadymając pierś niczym mały kogut. Uwielbia mnie przedrzeźniać, ale tego wieczoru jest dla mnie miły. Chciałby, żebym zapamiętała go jak najlepiej. Badawy wstaje i zaczyna przeraźliwie krzyczeć. Tato ostrym tonem prosi, żeby się uspokoił. W tym samym momencie potyka się o duży, plastikowy samochód, który leży na podłodze, i trochę się denerwuje.

– Azizo, rozpieszczasz dzieci! Wszędzie leżą porozrzucane zabawki i pluszaki! Mam tego dosyć. W

tym domu nie można już zrobić kroku, żeby na coś nie nadeprnąć!

Zdenerwowany tato idzie do swojego pokoju, siada na łóżku i włącza telewizor. Mama ma ochotę się roześmiać. Zbiera zabawki i sprzęta w salonie.

W tym czasie ja sprzątam ze stołu. Jestem pogrążona w myślach. Trochę się boję dalekiej podróży. Smutno mi, że będę musiała się rozstać z tatą i ródzeństwem. Jednocześnie obiecuję sobie, że wykorzystam wyjazd, by lepiej poznać kulturę, zwyczaje i tradycję Komoryjczyków. Ale jest jeszcze coś, co zasmuca mnie bardziej niż samo rozstanie z rodziną. Ogarnia mnie rodzaj niepokojącego smutku. Nie umiem wyjaśnić dlaczego, ale ciężko mi na sercu.

Tato założył krótkie spodnie i T-shirt, rozciągnął się na łóżku w sypialni rodziców i zaczął oglądać telewizję. Nigdy nie ogląda tych samych programów co my. W niedzielę wieczorem zamyka się zwykle w sypialni, by w spokoju obejrzeć *Zone interdite* na kanale M6. Bardzo lubi reportaże, które pokazują to, czego nie widać na co dzień, programy ujawniające kulisy pracy na przykład strażaków z Marsylii albo elitarnej jednostki żołnierzy francuskich, szkolących się w kolumbijskiej dżungli.

My, dzieci z mamą, siedzimy ściśnięci jedno obok drugiego na kanapie. Tylko Badrou woli rozsiaść się wygodnie w fotelu. Mimo że telewizor huczy, Badawy szybko zasypia na kolanach mamy, która delikatnie gładzi go po policzku. Oddycha powoli. Twarz mamy

promienieje, jej oczy błyszczą ze szczęścia. Wpatrzona w swoje najmłodsze dziecko, które śpi przytulone do niej, nie widzi początku filmu.

Jest późno. Tato wchodzi do salonu, widocznie jego program już się skończył. Jest niezadowolony, że jeszcze nie leżę w łóżku.

– Bahiu, czy nie powinnaś już spać o tej porze? Jutro wstajesz wcześniej rano. Przed tobą daleka podróż.

– Tato, daj spokój, chcę zobaczyć końcówkę filmu. Zostało dziesięć minut.

Tato wychodzi z salonu, wzdychając. Gdy już leżę w łóżku, wyobrażam sobie morze o przezroczystej wodzie, plaże i palmy na Komorach. Wreszcie zasypiam, nieświadoma, że zamiast egzotycznej przygody czeka mnie koszmar.

Mama nie chciała, żebyśmy pojechały razem

Kiedy już straciłam nadzieję, znów słyszę w górze warkot silnika. Tym razem dźwięk jest silniejszy i bliższy, i przypomina głuchoe dudnienie, które zagłusza świst wiatru po falach. To musi być duża maszyna, która właśnie podchodzi do lądowania.

Podnoszę głowę i szukam wzrokiem samolotu. Jest jednak zbyt ciemno, nic nie widzę. Mimo to próbuję krzyczeć, ale żaden głos nie wydobywa się z mojej krtani, za to okropnie pali mnie w gardle. Słyszę, że samolot zawraca, potem kołuje nade mną. Jest noc, morze wzburzone – małe szanse, żeby ktoś mnie zauważył z wysoka.

Warkot silnika milknie w oddali. Nasłuchuję choćby najcichszych odgłosów, które dają nadzieję. Tutaj jestem! Tutaj! Proszę, przybądźcie! Błagam! Modlę się do Allaha. Ale poza wyciem wiatru niczego już nie słyszę. Czuwam w ten sposób przez długie minuty. Jestem kompletnie wyczerpana. Pograżam się w rozpacz, tracę nadzieję. Umrę, to pewne! Moje modlitwy nie zostały wysłuchane! Zrezygnowana opuszczam głowę i zamykam oczy. Moje ciało jest coraz cięższe i coraz bardziej zimne.

Wspominam, jak kąpałam pluszowe misie, kiedy byłam mała. Lubiłam takie zabawy, mimo że przytulanki robiły się potem szorstkie w dotyku. Chciałabym teraz

wtulić się w któregoś z moich misiów.

Próbuję przywołać szczęśliwe chwile, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

Mama nie chciała, żebym jechała razem z nią. Do ostatniej chwili nie byłam pewna, czy pojedę. Musiałam nalegać, prosić, wreszcie mama się zgodziła – głównie dzięki tacie. Na pomysł naszej letniej wyprawy wpadł tato – w czasie lutowych ferii, gdy się dowiedział, że jeden z jego krewnych na Komorach się żeni. Mama miała pojechać na wesele i spędzić na wyspach długie wakacje. Ale tym razem tato zdecydował, że przyszła pora, bym pojechała razem z nią. Nie dlatego, że mnie faworyzował, ale dlatego, że jestem najstarsza z rodzeństwa i już rozumiem, co oznacza podróż do kraju przodków.

Nie jestem wcale ulubienicą taty. Tato nie wyróżnia żadnego ze swoich dzieci, choć kuzynom i przyjaciółom często mówi miłe dla mnie słowa.

– To Bahia otworzyła drzwi siostrze i braciom.

Mówi tak tylko dlatego, że jestem jego najstarszą córką. Pierwsza pojawiłam się w domu i dlatego mam obowiązki wobec siostry i braci. Muszę się opiekować małym Badawym, kiedy mamy nie ma w domu. Tato uważa, że jestem grzeczna i opiekuńcza w stosunku do najmłodszego brata. Nie wyobraża sobie, że mogłoby być inaczej, ponieważ w naszym domu obowiązują takie zasady. Jest dumny, że dobrze się uczę. Chce, żebym była przykładem dla młodszego rodzeństwa. Ponieważ jestem fizycznie podobna do mamy, tato oczekuje, że będę

umiała zaopiekować się siostrą i braćmi, gdy nie ma jej w domu.

* * *

Mama od początku nie zgadzała się, żebym towarzyszyła jej w podróży na Komory. Ale tato pozostał nieugięty. .

– Od trzech lat Bahia nie wyjeżdżała na wakacje. Teraz jej kolej.

Uraziło mnie, że mama nie chce ze mną jechać, ale nie zapytałam dlaczego. Wszystko zrozumiałam pewnego kwietniowego wieczoru, kiedy podsłuchałam rozmowę rodziców w sypialni. Mamie chodziło o pieniądze i Badawyego.

– Kassimie, posłuchaj. Te 1380 euro za bilet dla Bahii możemy wydać sensowniej. – Mama wymawia każde słowo stanowczo.

– Bahia jedzie z tobą. Tak ma być i już. Dobrze się uczy, nigdy nie wyjeżdżała, jest grzeczna i miła, tak więc należą się jej wakacje.

– Jeżeli Bahia pojedzie ze mną, kto zajmie się Badawym? – Mama znowu podnosi głos.

– Nie martw się, ja się nim odpowiednio zajmę. Bahia zasłużyła na prawdziwe wakacje.

– Byłoby lepiej, gdyby została w domu.

Tato gwałtownie wstaje i wychodzi, trzaskając drzwiami. Słyszę, jak zbiega po schodach. Siedzę

cichutko w swoim pokoju. Nie chcę, żeby mama się zorientowała, że słyszałam rozmowę rodziców. Staram się myśleć o czymś innym, otwieram książkę do fizyki, ale nie mogę powstrzymać ogarniającego mnie smutku.

Wprawdzie tato znalazł pracę zaraz po przyjeździe do Francji, ale zarabia mało i nie może sobie pozwolić na wysłanie na Komory całej rodziny. Udało mu się zaoszczędzić tylko na podróż dla mamy i dla mnie.

Wciąż słyszę, jak mama mówi:

– Jeśli pojedziemy całą rodziną na Komory, to po naszym powrocie lodówka będzie ciągle pusta i nie wiem, skąd weźmiemy pieniądze na czynsz.

Mama nie pracuje zawodowo, ale ostrożnie rozporządza pieniędzmi, które tato zarabia. To dochody całej naszej rodziny. Dlatego nie chcę, żeby tato się upierał przy moim wyjeździe. Bilety lotnicze są faktycznie bardzo drogie. Ale tato wpłacił już zaliczkę znajomemu, który pracuje w biurze podróży. Ten znajomy nie zaproponował mi wprawdzie promocyjnej ceny, ale dzięki niemu będziemy mogli wykupić bilety tuż przed wylotem, na taki dzień, który będzie dla nas najkorzystniejszy.

Nie odliczam dni do wyjazdu. Czekam spokojnie, bez zniecierpliwienia czy podniecenia. Przyjmę to, co przyniesie mi los. Jeśli nie pojedę, też nic się nie stanie. Nie jestem w więzieniu, żebym czekała na dzień wolności. Cztery dni do wyjazdu, trzy... dwa... jeden... Jutro się okaże, czy pojedę.

Moja walizka na dnie

Mam dość, jestem wykończona. Chcę już tylko spać. Chcę zasnąć spokojnie i nigdy się nie obudzić. Niech ten koszmar wreszcie się skończy! A jeśli ktoś mnie szuka? Będą mnie szukać, to pewne, to tylko kwestia czasu. Tak! Na zorganizowanie akcji ratowniczej potrzeba czasu! Trzeba znaleźć ludzi i sprzęt, potrzebny jest statek albo samolot. Dlatego nie powinnam spać, powinnam być przytomna, żeby usłyszeć, kiedy przybędą ratownicy, żeby wołać, pokazać, gdzie jestem. Nie mogę tego przegapić. Będą mnie szukać, to pewne... I zaraz znowu ogarniają mnie wątpliwości. A jeżeli mnie nie znajdą w tych ciemnościach?

W końcu się poddaję. Zapadam w letarg. Nie wiem, jakim cudem udaje mi się utrzymać na mojej prowizorycznej tratwie.

Słyszałam, że tuż przed śmiercią człowiek widzi przed oczami całe swoje życie. Mam przebłyski różnych wspomnień.

Dzień przed naszym wyjazdem, późnym popołudniem, mama dzwoni do Rachidy, sąsiadki z parteru, z której rodziną utrzymujemy przyjazne kontakty. To przemili Marokańczycy. Wprawdzie nigdy nie gościliśmy ich na obiedzie ani nie byliśmy poproszeni do nich, ale lubimy się i pomagamy sobie w drobiazgach. Pożyczamy sobie cukier i chleb, kiedy piekarnia albo

pobliski sklepik spożywczy są zamknięte, czasem częstujemy się jakimiś tradycyjnymi potrawami.

Drzwi otwiera Rachida. Mama pyta, czy mogłaby przechować przez wakacje jeden komplet kluczy do naszego mieszkania.

– Proszę o to na wypadek, gdyby Kassim zgubił swoje klucze. Pamiętasz, jak kilka tygodni temu zatrzasnął je w domu? Musiał czekać na ulicy, aż wrócę.

– Nie ma problemu, Azizo. Jeżeli je zgubi, wystarczy, żeby po prostu przyszedł do mnie. Życzę miłych wakacji. I tobie, Bahiu, również.

Pierwszy raz mama zostawiła komuś klucze do domu... Dopiero teraz przypomniałam sobie o tych drobnych przestroгах, które wysyłał nam los. Mama zostawia klucze sąsiadce, mama przytula Badawyego i płacze, jakby widziała go po raz ostatni, potem na lotnisku długo patrzy za tatą...

Wyobrażam sobie moją walizkę z prezentami na dnie morza. Niedługo do niej dołączę. Już nie wierzę w ocalenie. Staram się powoli oddychać i mieć zamknięte oczy. Myślę o mamie.

Pięć dni przed wyjazdem robimy razem zakupy przed podróżą. Idziemy do sklepu Marques Avenue w Corbeil, w centrum handlowym Art de Vivre przy ulicy Cocteau. Ceny są dość wygórowane, ale jest okres wyprzedaży i można natrafić na wyjątkowe okazje. Szukamy ubrań. Powoli przechodzimy przed witrynami eleganckich sklepów. Są tu wszystkie moje ulubione marki: Nike,

Banana Moon z kostiumami kąpielowymi w kolorach egzotycznych owoców, Mango, Asics, Stella Forest i jej odlotowe sukienki, Princesse Tam Tam, Levi's... Mama kupuje mi czerwone tenisówki marki Converse. Potem idziemy do fryzjera. Chcemy mieć ładne fryzury na wyjazd.

Mam jeszcze tyle rzeczy do zrobienia, nie mogę o niczym zapomnieć. Przyjaciele z Komorów przewijają się przez nasz dom. Wręczają mamie listy i prezenty dla krewnych w ojczyźnie. Tato kupił w centrum handlowym w Saint-Denis trzy garnitury po sześćdziesiąt euro każdy i chce, żebyśmy je zabrały jako prezenty od niego.

Zastanawiam się, co powinnam zapakować do swojej walizki: które perfumy, jakie kosmetyki, co do ubrania? Muszę wszystko przemyśleć. Nie chcę popełnić błędu. Klimat na Komorach nie przypomina tego tutaj, we Francji. Nie mogę się jednak zmusić, aby przejrzeć górę ubrań leżących na łóżku. Bo przecież wszystkiego nie zapakuję. Zwłaszcza że nie znoszę, gdy ubrania są pogniecione. Wreszcie segreguję ubrania: część wkładam do walizki, a pozostałe odkładam równiutko złożone do szafy. Do podręcznej torebki, z którą wejdę na pokład samolotu, zabieram książkę – tak na wszelki wypadek, gdybym się nudziła podczas lotu. Ta książka to nagroda od szkoły za dobre wyniki w nauce. Czeka nas z mamą długa podróż – ponad dwanaście tysięcy kilometrów – i chcę, aby czas minął mi jak najszybciej.

Odzyskuję świadomość i okropny ból przeszywa

moje ciało. Bola mnie plecy. Zmieniam pozycję i podnoszę głowę. Na niebie widać gwiazdy. Aby nie zasnąć, liczę je.

W głowie słyszę dziecięcy głos „jeden, dwa, trzy”.

* * *

Mama nauczyła mnie liczyć na schodach prowadzących do naszego mieszkania. Kiedy przyprowadzała mnie z przedszkola, bawiła się ze mną w wyliczankę. Mieszkamy w niedużym bloku na pierwszym piętrze. Do naszego mieszkania prowadzą trzy ciągi schodów. Pierwszy ma siedem stopni, drugi i trzeci – po osiem. Nauczyłam się liczyć od jednego do dwudziestu trzech, skacząc ze stopnia na stopień. Za każdym razem, gdy dobrze policzyłam schody, mama, zanim otworzyła drzwi, gratulowała mi głośno i całowała mnie w czoło. Czy jeszcze kiedyś przekroczę te drzwi?

* * *

Tato na pewno jeszcze nie wie, że coś złego się wydarzyło. Gdyby wiedział, już by tu był. Pewno już wyszedł do pracy. Zaczyna o czwartej rano. Jak zwykle bezszelestnie zamknął za sobą drzwi, żeby nikogo nie obudzić. Moja siostra i bracia jeszcze śpią. Przypuszczam, że przytuleni do siebie wyglądają jak aniołki. Odtwarzam w pamięci piękną pastelową tapetę z fioletową altanką

zdobiącą ściany naszego pokoju. Od dzieciństwa mnie fascynowała. Wiele razy wodziłam palcem po jej konturach, jakbym ją odrysowywała.

Z moją siostrą Badian śpimy na piętrowym łóżku. Czasem zajmuję miejsce na górze, a czasem na dole, zależnie od mojego humoru. Badian, młodsza ode mnie o dwa lata, zawsze się zgadza na zamianę. Zdarza się, że śpimy razem, jedna obok drugiej. Ach, jak tęsknię za Badian. I za moim łóżkiem. Widzę je w wyobraźni – piętrowe łóżko z jasnego drewna. Widzę też szafę i niebieskie zasłony w oknie. Okno wychodzi na hałaśliwą ulicę. Naprzeciwko okna wyrósł ostatnio las żurawi. To wielki plac budowy. Dotychczasowe budynki zrównano z ziemią i mają tu powstać nowe osiedla mieszkaniowe, z pięknym parkiem i ładnymi, małymi budynkami. Problem w tym, że robotnicy zaczynają pracę o siódmej rano. I nawet kiedy nie muszę iść na ósmą do szkoły, nie mogę dłużej pospać.

Mamy miłych sąsiadów. Z niektórymi znamy się bliżej, z innymi kontakty ograniczają się do zwyczajowych powitań. Najbliższa jest nam rodzina Rachidy, u której mama zostawiła klucze. Najlepiej jest mieć podobnych do siebie sąsiadów, to upraszcza wspólne życie. Na drugim piętrze mieszkają Thomas i Julie. Thomas ma tyle lat co ja, a Julia jest od niego dwa lata młodsza, czyli jest w wieku Badian. Naprzeciwko nich, na tym samym piętrze, mieszka jeszcze jedenastoletni chłopiec.

* * *

Mieszkam tu od urodzenia i zawsze spałam w tym pokoju. Spędziłam tu całe moje dzieciństwo. Trzeba jednak przyznać, że zaczynało być mi trochę ciasno. Mam wrażenie, że im bardziej rosnę, tym bardziej Corbeil-Essonnes się zmniejsza. Mieszkam w niewielkim miasteczku, w którym znam każdą dziurę. Mogłabym z zamkniętymi oczami przejść na piechotę ze szkoły do domu. Również nasze mieszkanie z każdym dniem wydaje mi się coraz mniejsze. Nawet nasz blok się kurczy.

Potrzebowałam zmian, ale teraz oddałabym wszystko, żeby tylko znaleźć się z powrotem w naszym małym mieszkaniu.

* * *

Nagle znowu mi się wydaje, że słyszę warkot silnika. Może samolot zawrócił? Serce wali mi w piersiach. Na pewno ktoś mnie zobaczył i ratownicy już zmierzają w moją stronę. Czekam i się modlę. Mijają długie sekundy, ale nic się nie dzieje. Warkot motoru ucichł. Mimo to nasłuchuję. Może zawróci? Nagle widzę przed sobą, jak wiatr rozwiewa pianę na grzbiecie fali, wydając przy tym dźwięk przypominający ryk silników samolotu. A więc to tylko morze bawi się ze mną. Tworzy złudzenie, aby mnie

oszukać i sprawić ból.

Teraz słyszę jakieś głośnie krzyki w oddali. To też musi być wiatr. W geście rozpaczy uderzam czołem o moją tratwę. Mam ochotę utulić w ramionach Badian, Badrou i małego Badawyego. Słyszę w głowie na przemian ich śmiech i płacz.

* * *

Wspomnienia z Corbeil uspokajają mnie. Działają jak łagodny sen. Imiona moje i mojego rodzeństwa zaczynają się na literę „B”, tak jak nasze nazwisko. To mama nadała mi imię Bahia – „piękna”, „promienna”. Mimo że na Komorach tradycyjnie o imieniu dziecka decyduje ojciec, tato pozwolił mamie wybrać imię dla mnie. Jest dumny ze swojego malgaskiego pochodzenia i ze swojej komoryjskiej krwi, ale przede wszystkim jest dumny, że jest takim samym Francuzem jak inni.

Niewiele pamiętam z narodzin mojej siostry Badian. Byłam zbyt mała. Przyjście na świat Badrou przeżyłam bardzo mocno, natomiast narodziny Badawyego uznałam już za coś naturalnego. To samo wydarzenie przeżywane kilka razy powszednie i nie wywołuje silnych emocji. Przyzwyczaiałam się, że co jakiś czas pojawiała się w naszym mieszkaniu kolejne dziecko, co oznaczało, że robiło się ciasniej, a mnie przybywało obowiązków. Badawy nadal jeszcze płacze czasem w nocy i budzi mnie, ale uważam to za normalne. Na początku, kiedy był

maleńki, bywałam trochę o niego zazdrosna, ale w głębi duszy jestem zadowolona, że nasza rodzina się powiększa. To sprawia, że szybciej dojrzewam. Tak jak wszystkie dzieci, nie mogę się doczekać dorosłości. Kiedy urodził się Badrou, od razu poczułam się starsza. Mogłam już samodzielnie otwierać lodówkę. A po urodzeniu Badawyego miałam prawo sama wracać ze szkoły, ale jednocześnie musiałam się nauczyć opiekować moim młodszym bratem. Uważam, że to trochę niesprawiedliwe, ale on ma buźkę jak aniołek i jestem w stanie wszystko mu wybaczyć. Czasem nie mogę przestać go całować.

Teraz bardzo brakuje mi Badian. Jest ładna, delikatna i bardzo grzeczna. Jak zachowywałaby się na moim miejscu? Z pewnością spokojnie. Nie tak jak Badrou, mój drugi młodszymi bratem, który lubi się wymądrzać i stroszyć piórka jak kogut.

Boję się, że mogę ich już nigdy więcej nie przytulić, nie połaskotać, nie poprzedrzyć i nie pośmiać się razem z nimi. Chciałabym teraz poczuć ich w ramionach, choćby przez ułamek sekundy. Powinnam była pożegnać się z nimi czule przed wyjazdem, ale spali.

Serce mi pęka. Mam ochotę płakać. Ale to do niczego nie prowadzi, więc ostatecznie się powstrzymuję od łez. Płacz mi nie pomoże.

Przez okno

Otwieram oczy. Świta. Robi się coraz widniej. Musiałam stracić przytomność. Falowanie ciągle wywołuje u mnie mdłości. Nałykałam się słonej wody i czuję w ustach obrzydliwy smak. Przyglądam się mojej tratwie. Przypomina fragment poszycia samolotu z okrągłym otworem pośrodku. Podciągam się jeszcze trochę. To okienko samolotu. Próbuję przez nie spojrzeć w dół i widzę przesuwający się cień.

Wpadam w panikę. To przecież mogą być rekiny. Nie chcę umrzeć samotnie na środku oceanu. Nie chcę zostać zjedzona przez rekiny. Czytałam, że w Oceanie Indyjskim żyją ogromne żarłacze, które atakują ludzi, a ja mam nogi zanurzone do połowy w wodzie. Byłabym doskonały łupem dla wygłodniałego rekina.

Nagle ogarnia mnie zobojętnienie. A niech mnie już zjedzą. I tak nie czuję nóg. To koniec. Zamykam oczy.

* * *

Elodie, błagam, pomóż mi! Nie zostawiaj mnie tak!
Ja umieram!

Elodie... Moja najlepsza przyjaciółko, moja jedyna powierniczko.

Wciąż słyszę jej cichy głos w słuchawce. Przed wyjazdem zadzwoniłam do niej, żeby się pożegnać.

Powiedziałam, że spotkamy się na początku roku szkolnego, że będzie mi jej brakowało, i że będę do niej pisać, jak tylko będę mogła. A potem trochę żartowałyśmy.

Elodie, wysyłam do ciebie wiadomość – telepatycznie, jak robiłyśmy to nieraz. Umieram! Chcę cię znów zobaczyć! Potrzebuję cię!

Kiedy pierwszy raz się spotkałyśmy, natychmiast usiadłyśmy obok siebie na wielkim zielonym dywanie i bawiłyśmy się klockami, jakbyśmy się znały od zawsze. Elodie podaje mi duże żółte klocki, których potrzebuję, żeby skończyć ostatnią ścianę domu, a ja podaję jej czerwone dachówki, żeby mogła zbudować dach na swoim domu. Chodzimy do tego samego przedszkola w Corbeil.

Elodie jest ładną Metyską. Betty, jej mama, jest Haitanką, a jej tato jest rodowitym Francuzem. Elodie jest trochę wyższa ode mnie i nosi duże okulary. Jest też bardziej nieśmiała. Zastanawiam się, czy to nie nasza nieśmiałość zbliżyła nas do siebie. Szybko stajemy się nierozłączne. Odwiedzamy się bardzo często, a nasze mamy zostają przyjaciółkami.

Przyrzekłyśmy sobie, że nigdy się nie rozstaniemy. Przepraszam cię, Elodie.

W szkole podstawowej, na szkolnym podwórku, to ona chroni mnie przed agresją innych dzieci, a także przed małostkowością, lenistwem i nieszczerością najlepszych przyjaciółek. Wobec siebie zawsze byłyśmy lojalne.

Koleguję się ze wszystkimi dziewczynami z mojej klasy, ale jak to bywa w każdej szkole, uczniowie są w grupkach, które ze sobą rywalizują. Nigdy nie biorę udziału w tych idiotycznych kłótniach, szkoda mi czasu i energii, ale neutralność sporo kosztuje. Koleżanki, które w poniedziałek były moimi przyjaciółkami, we wtorek są już moimi wrogami, bo nie przyłączyłam się do ich nowej wojny. Na szczęście jest Elodie, która doskonale mnie rozumie i też trzyma się z dala od klasowych konfliktów.

W pierwszej klasie podstawówki Elodie ma kłopoty z nauką. Być może dlatego, że za mało czyta. Okazuje się, że musi powtarzać klasę. Ja uczę się dobrze i bez problemów zdaję do następnej klasy. Mimo to pozostajemy najlepszymi przyjaciółkami. Nic nigdy nas nie rozłączy – przyrzekamy to sobie. Nie dopuścimy, by zazdrość zniszczyła naszą przyjaźń. Nie przeszkadza mi, że przyjaźnię się z uczennicą z niższej klasy, żałuję tylko, że nie możemy już siedzieć w jednej ławce, na której wyryłyśmy nasze imiona. Widujemy się wprawdzie na boisku podczas przerw, ale bez Elodie czuję się w klasie samotna. Dziewczyny robią się coraz bardziej złośliwe i napastliwe. Są gorsze od chłopców, którzy wolą grać w piłkę na boisku, zamiast kłócić się o każdy drobiazg.

Postanawiam skupić myśli na Elodie. Wtedy mniej się boję. Ona też musi teraz czuć się samotna. Nigdzie nie wyjeżdża na wakacje. Całe lato spędzi w Corbeil. Zamierzała często chodzić na pływalnię Gabriel-Menut. W Corbeil można w lecie korzystać z wielu zajęć

sportowych. Pływalnia jest popularnym miejscem spotkań miejscowej młodzieży. Są tu kryte baseny olimpijskie, jest kompleks basenów na wolnym powietrzu. Można grać w siatkówkę albo wypoczywać w cieniu drzew w parku otaczającym pływalnię. Warunki są tu o wiele lepsze niż nad Sekwaną.

Kiedy powiedziałam Elodie, że wyjeżdżam na Komory, czułam, że jest zawiedziona, ponieważ nie spędzimy razem wakacji. Nie chciałam, by była smutna. Aby ją pocieszyć i przywrócić uśmiech na jej twarzy, miałam ochotę jej powiedzieć, że to jeszcze nic pewnego. Milczałam jednak, aby nie robić jej nadziei.

Przypominam sobie naszą ostatnią rozmowę na podwórku szkolnym. Tłumaczyłam Elodie, że muszę się przygotować do podróży, przestaję więc chodzić na zajęcia tydzień przed zakończeniem roku szkolnego. Stopnie zostały już wystawione i moja nieobecność nie ma znaczenia. Dostałam trzy pochwały i zakwalifikowałam się do grona najlepszych uczniów. Byłam dumna z moich szkolnych sukcesów.

* * *

Nadszedł moment pożegnania z koleżankami. Dzień był pogodny i ciepły. Nasza grupka na podwórku trzymała się z boku. Trochę dalej stała „banda lasek”. Zawsze ubierają się prowokacyjnie, żeby przyciągnąć uwagę chłopaków. Udają słynne piosenkarki, trochę Rihannę,

Beyonce, Ciarę. Te najbardziej szpanujące chcą być seksowne jak dziewczyny z zespołu Pussycat Dolls. Ich połyskliwe spodnie, błyszczące w słońcu jak szklana kula w dyskotecie, są widoczne z daleka. W rzeczywistości wyglądają głupio, bo przecież nie mają nawet trzynastu lat. Unikam pokazywania się w towarzystwie wyzywająco ubranych dziewczyn.

Trochę się popisuję przed Elodie, Lindą i Cynthią. Dziewczyny znają mnie dobrze i wiedzą, że nie jestem przemądrzała, dlatego teraz słuchają mnie uważnie, mimo że trochę się przechwalam. Wiem, że mi to wybaczą. Lubią mnie, bo nie jestem kłótliwa ani zazdrosna i nie spiskuję za plecami innych. Kiedy opowiadam podekscytowana o czekającej mnie dalekiej podróży, dziewczyny udają obojętność. Elodie nic nie mówi.

– Jadę na wakacje daleko, bardzo daleko. A wy zostajecie tutaj.

– Mamy to w nosie!

– Nieprawda! Ponad dwanaście tysięcy kilometrów samolotem! Wyobrażacie sobie?

Uśmiecham się triumfalnie. W głębi duszy czuję, że odrobinę mi zazdroszczą, ale jednocześnie cieszą się ze mną. Tymczasem ja wcale nie szaleję z radości. Wciąż nie wierzę, że pojedę na Komory w tym roku. Mama w ostatniej chwili może przekonać tatę, żebym została w domu.

Zmieniamy świat z Elodie

Wciąż czekam na ratunek. Ale nic się nie dzieje, nie widzę nawet najmniejszego światełka na wodzie. A przecież tato opowiadał, że na Komorach, w jego miasteczku – Nioumadzaha Bambao – rybacy wypływają łodziami na połów ryb w nocy z latarniami i łowią do świtu. Mówił, że światło przyczepionej do masztu lampy przyciąga ryby.

* * *

Znowu zamykam oczy i wyobrażam sobie, że Elodie leży obok mnie, że jest tutaj ze mną... Podobnie jak czasami, kiedy siedzimy razem na ławce i dzielimy się największymi tajemnicami.

Elodie jest tak samo poważna jak ja. Nie ma chłopaka. Obie się zastanawiamy, czy to dlatego, że komplikujemy zbyt sprawy, być może jesteśmy zbyt nieśmiałe albo wymagające, albo jedno i drugie. W każdym razie nasze osobiste tajemnice nie powinny nikogo poza nami obchodzić.

Zaczynamy zwracać uwagę na nasz wygląd, lubimy się stroić. W czasopismach o gwiazdach, które oglądam u koleżanek, podpatruję, jak ubierają się aktorzy z seriali telewizyjnych, którzy są niewiele starsi ode mnie. Lubię styl brytyjskiej popowej piosenkarki Lily Allen albo

Lourdes Marii, córki Madonny. Ubrania kupuję razem z mamą w centrum handlowym w Corbeil. Mama pozwala mi wybierać to, co chcę. Kiedy cena ładnej bluzki lub dżinsów wydaje się jej wygórowana, marszczy swoje cienkie i regularne brwi. Każdego ranka drażni się ze mną, kiedy przed wyjściem do szkoły zastanawiam się, co włożyć. A ja nigdy nie wiem, w co się ubrać. To normalne dla dziewczyny w moim wieku. Mama udaje, że mi pomaga, ale tylko po to, żeby się ze mną podroczyć i udowodnić mi, że zbyt duży wybór może prowadzić do zepsucia smaku. Do czarnych dżinsów specjalnie dobiera zupełnie niepasujący niebieski podkoszulek. Rzuca te rzeczy na moje łóżko i prowokacyjnie się uśmiecha.

– Masz, Bahiu. Włóż to.

– Mamo, to jest straszne! Okropne! Dziewczyny będą się ze mnie śmiać.

– A więc dlaczego kupiłaś ten podkoszulek w zeszłym tygodniu?

I tak co rano rozmawiamy, a potem mama wychodzi z pokoju i zostawia mnie z moimi wątpliwościami.

Pewnego ranka moje marudzenie wcale jej nie rozśmieszyło. Usiadła na łóżku, popatrzyła na mnie z powagą i powiedziała:

– Wiesz, Bahiu, na Komorach miałam tylko jedną parę butów i jedną sukienkę. Wieczorem ją prałam, w nocy schła, a następnego dnia znów ją zakładałam.

Odpowiedziałam jej, że nie mam co na siebie włożyć. Szeroko otworzyła oczy, po czym wstała i wychodząc z

pokoju, rzuciła z przekąsem:

– O rany! Moje biedactwo. Naprawdę masz za mało rzeczy...

Wolałam się nie odzywać i poszłam do szkoły trochę na nią złą.

* * *

Już prawie dziesięć lat przyjaźnimy się z Elodie. Od dziesięciu lat niemal przez cały czas jesteśmy razem, dziesięć lat radości, smutków, niepotrzebnych sporów i pełnych emocji przeprosin...

Opowiadamy sobie o wszystkim. Często rozmawiamy o raperce Diarns. Uważam, że jej teksty są naprawdę dobre. Wiele piosenek znam na pamięć. Są też inni wykonawcy, których lubimy: Rihanna, Beyonce. Ale moimi ulubieńcami są chłopaki z zespołu Jonas Brothers. Uważam, że są cudowni. Elodie i ja słuchamy dużo rhythm and bluesa oraz popu. Tańczymy jak wariatki do naszych ulubionych utworów. Nasze mamy zapisały nas na zajęcia z modern jazzu w Corbeil. Moja siostra Badian i Delphine, młodsza siostra Elodie, chodzą razem z nami. Często odwiedzam Elodie. Ona dzieli swój pokój z dwoma młodszymi siostrami. Obok piętrowych łóżek powiesiła na ścianie plakaty z aktorami z telewizyjnego serialu *Pogoda na miłość (One Tree Hill)*. Zdjęcie Hilarie Ross Burton, która grała w serialu Peyton Scott (Sawyer), wisi pośrodku. Aktorka ma kręcone jasne włosy i piękne

niebieskoszare oczy. Nazywamy ją „seksbombą” ze względu na jej wymiary i prowokacyjny sposób chodzenia. Odeszła z filmu w 2006 roku i od tego czasu *Pogoda na miłość* wiele straciła. Nie jestem fanką gier wideo, ale czasami gram z Elodie na jej Nintendo DS. Taką samą konsolę ma Badian.

Nie dzielam jedynie miłości Elodie do mangi, czyli japońskich komiksów. Od miesięcy Elodie prenumeruje czasopismo, z którego uczy się rysować mangę. Moja przyjaciółka ładnie rysuje. Odrysowane z czasopisma wzory mangi porządkuje w specjalnym segregatorze. Raz i ja spróbowałam coś odwzorować, żeby zrobić jej przyjemność, ale szybko się przekonałam, że to nie dla mnie. Po prostu nie lubię odrysowywać wzorów. Ale Elodie się tym nie przejmuje. Podarowała mi mangę, którą narysowała. Przedstawia tajemniczą dziewczynę w jaskrawych fioletowych rajstopach w kratkę i śmiesznym T-shircie.

Po szkole, na ulubionej ławce rozmawiamy z Elodie również o naszych rodzinach. Dorastamy i zaczynamy coraz lepiej rozumieć rodziców. To z kolei pozwala mi pojąć, kim naprawdę jestem.

Zwierzam się Elodie, że moje stosunki z matką uległy zmianie. Od roku zbliżam się do niej, rozmawiam z nią z coraz mniejszym skrępowaniem, wszystko jej opowiadam, mówię o wszystkim, co leży mi na sercu.

Jeżeli zaś chodzi o mojego ojca, potrzebowałam dużo więcej czasu, żeby odkryć, jaki jest wspaniały. Nie

wiedziałam, jaki jest naprawdę. Odkryłam w nim człowieka, który chowa się za głośnym i poważnym tonem i upomina dzieci.

Tato zawsze uważał się za Francuza zza mórz, których nazywają „kameleonami”. Należy do milionów ludzi, którzy wyemigrowali do Francji w poszukiwaniu pracy. Nigdy się o nich nie mówi w serwisach informacyjnych. Nikomu nie przeszkadzają, bo respektują zasady społeczne i przestrzegają prawa. Ta społeczność stara się nigdy nie zwracać na siebie uwagi. Bycie „kameleonem” jest dla taty powodem do dumy. Z dzieciństwa pamiętam jego niski i ciepły, ale stanowczy głos, kiedy powtarzał nam: „Nie gryzie się ręki, która karmi”. Wtedy nie rozumiałam znaczenia tych słów. Teraz już wiem, o co mu chodziło. Tato nigdy nie miał problemów z wymiarem sprawiedliwości, czynsz zawsze płacił w wyznaczonym terminie. Nie przyszłoby mu do głowy, że można płacić rachunki z opóźnieniem i nigdy nie starał się o zasiłek z opieki społecznej ani nie korzystał z przywilejów należnych imigrantom. Jedynym źródłem naszego utrzymania jest jego praca zarobkowa, a nie status biednego przybysza zza morza. Mój ojciec jest człowiekiem dyskretnym i, jak większość Komoryjczyków, nie lubi narzekać. Szczęście odnajduje w prostym, spokojnym życiu.

W domu niczego nam nie brakuje, mimo że nie stać nas na luksusy. Tato dzieli swoje zarobki sprawiedliwie, dlatego nigdy się nie skarżę, że nie żyjemy w bogactwie, i

nie zazdrozczę niczego innym. Wystarcza mi to, co mam. Rodzice przede wszystkim chcą zapewnić nam wykształcenie. Dodatkowo dają nam miłość oraz poczucie bezpieczeństwa w zgodnej rodzinie.

Mama i tato wychowali nas w przekonaniu, że nie jesteśmy od nikogo gorsi, mimo ciemnego koloru skóry. Przecież rodowici Francuzi też są różni.

Kiedy byłam mała, bardzo szybko zaczęłam rozumieć język komoryjski, którym czasami mówiła do mnie mama. Ale nigdy nie nauczyłam się mówić po komoryjsku. Natomiast po francusku zaczęłam mówić wcześniej niż inne dzieci w podobnym wieku. Próbowałam się dowiedzieć, dlaczego tak było. I dziś po prostu uważam, że Francja jest mi bliższa niż ojczyzna moich przodków. Zostałam wychowana jak wszystkie inne francuskie dziewczynki: według tych samych reguł, we francuskiej szkole i przez francuskich nauczycieli. Bawię się tak samo jak one i mam takie same marzenia.

* * *

Czasami rozmawiamy z Elodie o naszym pochodzeniu. Opowiadam jej to, co wiem o Komorach, a ona opowiada mi o Haiti.

Tłumaczę jej, że Komory są archipelagiem wysp na Oceanie Indyjskim. Wyspy tworzą rodzaj drogi przez ocean. Wystarczy płynąć od wyspy do wyspy, by szybko się przeprawić przez Kanał Mozambicki.

Patrząc na mapę, widać, że Komory leżą na północny zachód od Madagaskaru, a Madagaskar leży na wschód od Afryki. Lubię geografię i niekiedy siedzę nad mapą.

Od najmłodszych lat rodzice opowiadali mi o Komorach. Z komoryjskimi przyjaciółmi często rozmawiają o sytuacji politycznej w kraju. Współczesna historia Komorów jest równie gwałtowana jak Kartala, wulkan tryskający lawą. Komory są dawną kolonią francuską. Archipelag ogłosił niepodległość w 1975 roku, tylko wyspa Majotta pozostała pod protektoratem francuskim. Jednak żądza władzy była groźniejsza dla kraju niż potężne fale oceanu. Ustroje polityczne zmieniały się jak w kalejdoskopie, a kolejni przywódcy i prezydenci odchodzili na skutek zamachów stanu. Wreszcie doszło do rozpadu unii politycznej archipelagu. Dwie wyspy, Anjouan i Moheli, chciały pozostać w ścisłym związku z Francją, ale ta już ich nie chciała.

W Nioumadzaha Bambao – miasteczku, w którym urodzili się i wychowali moi rodzice – przy drodze rosną palmy, migdałeczniki i hibiskusy. Osada jest położona po zachodniej stronie wyspy, bliżej Afryki. Mieszkańcy żyją tu w cieniu wielkiej Kartali, aktywnego, niebezpiecznego wulkanu o wysokości 2361 metrów. Z miasteczka do oceanu jest pięć minut drogi. Woda jest ciepła, przezroczysta i można się w niej kąpać przez cały rok. Okoliczni mieszkańcy utrzymują się między innymi z połowu tuńczyków, rekinów i mieczników.

W miasteczku obok nowoczesnej murowanej

zabudowy stoją również domy z blachy lub słomy, w których mieszka biedota. Na ulicznych straganach można kupić pomidory, orzechy kokosowe, banany. Ludzie szukający mocnego alkoholu lub piwa muszą jechać do Moroni, gdzie można się napić przez całą noc. Samochodem jedzie się do stolicy osiem minut. Kierowcy mogą prowadzić po pijanemu z bardzo dużą prędkością. Nikt nie nalicza punktów karnych.

U nas, w Corbeil, codzienność jest urozmaicana szczyptą komoryjskich zwyczajów. Zgodnie z tradycją obowiązującą na archipelagu, najstarsza córka ma pewne przywileje, nawet jeśli ma starszego brata. Kiedy wychodzi za męża, ojciec buduje dla nich dom na wsi. Jeżeli żonie nie układa się z mężem, to mężczyzna powinien opuścić dom. Tak już jest. Natomiast ja nie uważam, żebym była jakoś specjalnie traktowana tylko dlatego, że jestem najstarsza z rodzeństwa. Wręcz przeciwnie, bycie pierworodną córką to dla mnie przede wszystkim większe obowiązki. Odkąd pamiętam, rodzice powtarzali mi: „Jeśli będziesz robiła głupstwa, twoje rodzeństwo będzie robiło tak samo. To ty, Bahiu, powinnaś dawać im dobry przykład”.

* * *

O podróży na Komory marzyłam od roku. Nieraz zwierzałam się Elodie, że Corbeil mnie ogranicza. Mam coraz większą ochotę poznać lepiej kraj moich przodków.

Często wypytuję rodziców o ich wioskę. Mama uśmiecha się wtedy. Jej twarz łagodnie promienieje, a oczy błyszczą. Tato odwraca głowę od telewizora i przysłuchuje się uważnie. Kiedy mama opowiada o ojcystym kraju, jej głos jest pełen ciepła.

– Tam, Bahiu, możesz pójść, gdzie chcesz i kiedy chcesz, i nikt nie porwie ci dzieci... Tam jest pięknie, bardzo pięknie. Ludzie są biedni, ale o wiele łatwiej znieść biedę, żyjąc w pobliżu słonecznej laguny niż w mieście we Francji.

Kiedy po raz pierwszy pojechałam na Komory, miałam dwa lata. Nic z tamtej podróży nie pamiętam. Trzy lata później pojechałam znowu. Z tej drugiej podróży pozostały mi okruchy wspomnień. Pewnego dnia, gdy mama poszła na zakupy, zostałam w wiosce z ciotką, która piekła ciasto. Zapamiętałam używaną przez nią foremkę w kształcie serca. W pokoju pod ścianą stało okrągłe łóżko, na którym co chwilę się kładłam. Pamiętam, że białe prześcieradło było przyjemnie chłodne. Przypominam sobie również mysz, która wślizgnęła się do domu. Moi dwaj kuzyni złapali ją i przystawili mi do twarzy, a ja wrzeszczałam wniebogłosy.

I tyle. Nie pamiętam nic więcej: żadnych krajobrazów, muzyki, ludzi. Komory znam tylko ze zdjęć i z filmów wideo, które regularnie przesyła nam rodzina taty i mamy. Moi rodzice oglądali te kasety lub płyty DVD z rodzinnych uroczystości ze łzami w oczach. Mnie to raczej nie interesowało. Zwłaszcza filmy na DVD,

które są zdecydowanie za długie, za wolne i nudne. Za każdym razem, kiedy je oglądaliśmy, przysypiałam na kanapie. Budziły mnie dopiero okrzyki mamy:

– Patrz, Bahiu, to twoja babcia! A tu twoja ciocia!

Zmuszałam się do oglądania tych filmów i zdjęć, aby sprawić przyjemność rodzicom. Ale same obrazy mi nie wystarczały. Chciałam poczuć zapachy, zobaczyć kolory i usłyszeć muzykę. Pragnęłam pojechać na Komory i dobrze poznać ten kraj.

Rodzice utrzymują ścisłe kontakty ze swoimi rodzinami na Komorach. Kilka razy w tygodniu mama dzwoni do dziadka i babci. Ojciec jeździ tam raz w roku. Za każdym razem jego bracia i kuzyni zabierają mu wszystko, co przywozi, w tym rzeczy osobiste. Zostawił im nawet zegarek, który kupił sobie na urodziny. Uważają to za normalne, ponieważ tato mieszka i pracuje w bogatej Francji, a oni żyją w biedzie. Traktują tatę jak bankomat.

Chcę znów zobaczyć moich rodziców

Musiałam być nieprzytomna przez jakiś czas, bo mam lukę w pamięci. A przecież powinnam być czujna, gotowa do wołania o pomoc, gdyby przepływał w pobliżu jakiś statek. Być może samolot wciąż mnie szuka? Jeżeli powróci, nie chcę go przegapić.

Kiedy wybudzam się z odrętwienia, od razu czuję ból w całym ciele. Jestem coraz bardziej zmęczona. Mam odrętwiałe nogi i coraz bardziej opuchnięte ramiona. Wydaje mi się, że co jakiś czas mdleję. Dryfuję już całą wieczność. Znowu muszę pomyśleć o czymś miłym, aby dodać sobie sił.

* * *

Przypominam sobie historię spotkania moich rodziców, na podstawie której można by nakręcić serial telewizyjny.

Rodziny mojego taty i mojej mamy żyją na Wielkim Komorze, w miasteczku Nioumadzaha Bambao, położonym około piętnastu kilometrów od Moroni i liczącym niecałe dwa tysiące mieszkańców. Obie rodziny mieszkają w tej samej dzielnicy – Mropmdi.

Kassim, mój tato, urodził się 25 grudnia 1969 roku, w Boże Narodzenie. Gdy miał dwa i pół roku, jego mama zmarła. Wychowywała go starsza siostra matki, która nie

przeprowadziła się jednak do jego ojca, mimo że tak jest w zwyczaju na Komorach. Ciotka zastąpiła mu matkę, ale nie została żoną mojego dziadka.

Mój tato jest trochę starszy od mojej mamy. Oboje znali się od dzieciństwa. Dużo o sobie wiedzieli, ponieważ w miasteczku wszyscy się znają.

W 1988 roku ojciec mojej mamy, który był mężczyzną wykształconym, został ministrem do spraw imigracji i ceł. Nie oznaczało to, że rodzina matki była bogata, po prostu mieli trochę łatwiejsze życie. Moja babcia zajmowała się domem, a mama żyła tak samo jak inne dziewczynki na Komorach. Codziennie chodziła do szkoły, ale też przynosiła do domu liście manioku i chrust – jak wszystkie dzieci.

Kassim i Aziza dorastali, mieszkając obok siebie. Często się widywali, ale nie zwracali na siebie uwagi. Pozdrawiali się i to wszystko. Byli po prostu sąsiadami.

Kassim pierwszy raz spojrzął na Azizę uważniej w 1992 roku, w Moroni. Kassim chciał trochę zarobić jako taksówkarz. Poprosił więc jednego z braci, aby w zamian za procent od zarobków pożyczył mu samochód, białego renaulta L4. Na Komorach nazywa się takie taksówki „zbiorowymi”, natomiast turyści nazywają je „strasznymi taksówkami”. Na wyspach nie ma żadnych znaków drogowych ani świateł na ulicach. Kierowcy nie przestrzegają żadnych przepisów, jeżdżą jak chcą. Zeby kurs się opłacał, Kassim brał jednego pasażera z przodu i trzech z tyłu. Kiedyś, gdy jechał na lotnisko, zauważył na

poboczu drogi Azizę. Machnęła, żeby się zatrzymał. To wtedy zwrócił na nią uwagę. Czy tego ranka ubrała się wyjątkowo elegancko? Czy przygotowując się do wyjścia, przeczuwała, że coś się wydarzy? Czy się wyperfumowała?

Aziza usiadła z tyłu po lewej stronie, tuż za kierowcą. Tato nigdy się nie przyznał, bo jest zbyt nieśmiały, ale to wtedy mama mu się spodobała. To właśnie tego dnia się w niej zakochał. Zaczęli ze sobą rozmawiać w taksówce. I choć się znali, zachowywali się tak, jakby zobaczyli się pierwszy raz, jakby nigdy wcześniej się nie spotkali.

Aziza poprosiła Kassima, żeby ją zawiózł do dzielnicy Mabutu. Kiedy już wysiadała, Kassim zwierzył się jej, że za kilka dni wyjeżdża. Spytała:

– Dokąd jedziesz?

– Do Francji – odpowiedział.

Życzyła mu przyjemnej podróży i poszła w swoją stronę.

Tego dnia nie wydarzyło się między nimi nic znaczącego, poza tym, że oboje zapragnęli zobaczyć się ponownie, i tak narodziło się ich uczucie. Na Komorach zrobienie pierwszego kroku oznacza zaangażowanie, ale przecież mogliby się już nigdy więcej nie zobaczyć. Przypadek zdecydował inaczej.

Historia moich rodziców jest historią wielu komoryjskich rodzin, które zmęczone sytuacją polityczną i gospodarczą na wyspach wyemigrowały do Francji w poszukiwaniu pracy i spokojnego miejsca do życia.

Mój tato urodził się na Madagaskarze, ale jego rodzice są Komoryjczykami. W 1986 roku w ambasadzie francuskiej w Moroni Kassim otrzymał obywatelstwo francuskie. Bardzo chciał być Francuzem. W 1992 roku jego ojciec kupił mu bilet na samolot do Marsylii. We Francji czekał na niego wuj, u którego miał się początkowo zatrzymać. Kassim nie potrzebował wizy, bo jest Francuzem. Dlatego mógł łatwiej niż Komoryjczycy bez francuskiego obywatelstwa znaleźć pracę. Mój dziadek wiedział o tym i namawiał syna do wyjazdu.

Po przyjeździe do Marsylii tato nie czuł się wyobcowany. W dzielnicy Belle de Mai żyją sami Komoryjczycy: ludzie tacy jak on, o takim samym kolorze skóry i akcencie. Kassim jest „kameleonem”. Wszędzie dobrze się czuje. Na ulicach pełnych kolorowego tłumu mijają rodaków z wysp. Wszyscy się znają, rozmawiają ze sobą i sobie pomagają. A zapach morza jest wszędzie taki sam.

Trzy miesiące po przyjeździe do Francji Kassim powinien odbyć służbę wojskową. Choć w porcie cumuje wiele statków, on nie zostaje powołany do marynarki. Odbywa za to dziesięciomiesięczną służbę w pułku piechoty francuskiej. Kiedy kończy szkolenie, dzięki znajomościom wuja dostaje się do ośrodka dla imigrantów Sonacotra w Corbeil-Essonnes, na przedmieściach Paryża. Natychmiast się tam udaje. Ściany ośrodka są białe i pachną świeżą farbą. Drzwi są z niebieskiej blachy. Kassim nie może narzekać. Ma łóżko

do spania. Ma kolegów, z którymi może porozmawiać i jeść przy wspólnym stole. Opatrzność wciąż nad nim czuwa. Pracownica społeczna informuje go, że firma Derichebourg szuka kogoś do zbierania śmieci na terenie gminy. Kassim podejmuje pracę śmieciarza i nigdy z niej nie zrezygnuje. Ma prawo jazdy na wszystkie kategorie pojazdów. Może nawet prowadzić wywrotkę. Jest zadowolony, że znalazł pracę we Francji.

Mój tato wciąż jest dumny z pracy, która u wielu wywołałaby obrzydzenie. A zwłaszcza jest dumny z tego, że nigdy nie był we Francji bezrobotnym.

W 1993 roku Corbeil-Essonnes nie nazywane jest jeszcze „miastem Dassaulta”. Serge Dassault zostaje tu merem dopiero w 1995 roku. Na przemysłowych przedmieściach miasta o komunistycznej przeszłości Kassim czuje się jak u siebie. Szybko zdobywa przyjaciół. Spędza w ich gronie długie i wesołe wieczory. A gdy wraca do swojego pokoju, zasypia wpatrzony w zdjęcia rodzinnego kraju zawieszane na ścianie. Codziennie rano budzi się o wpół do czwartej i wkłada strój śmieciarza. Nie unika pracy i ją szanuje. Nie tęskni za ojczyzną, ale w swoim pokoju czuje się osamotniony. Brakuje mu kobiety, która dopełniłaby jego życie.

Od kuzyna dowiadyuje się, że Aziza, również wyjechała do Francji i mieszka w Epinay-sur-Seine, czyli zaledwie pięćdziesiąt kilometrów od niego. On mieszka na południe od Paryża, a ona na północ. Można by powiedzieć, że są jak dwa przyciągające się bieguny.

Kuzyn daje mu numer telefonu do jego dawnej sąsiadki i Kassim dzwoni do Azizy. Przypomina jej, że kiedyś się spotkali w jego taksówce. Wypytuje, co u niej słycać. Rozmowa trwa kilka minut. Potem dzwoni jeszcze kilkakrotnie. Delikatnie dopytuje się o jej zdrowie i rodzinę. Wreszcie podejmuje odważną decyzję i dzwoni, żeby zaproponować spotkanie. To jedyny sposób, by się dowiedzieć, czy mogą założyć rodzinę. Kassim zaprasza Azizę do siebie. Ona się zgadza. Na ulicy bierze ją za rękę i długo spacerują. Nie rozmawiają. Milczenie jest o wiele bardziej znaczące; wszystko odbywa się bez słów. Pod koniec spotkania Kassim proponuje Azizie małżeństwo. Ona odpowiada, że potrzebuje czasu do namysłu.

Po czym zastanawia się i zastanawia. Mija miesiąc. Kassim zaczyna się niecierpliwić. Wreszcie dzwoni i nalega, żeby Aziza przeprowadziła się do niego i ona ulega. Zgodnie z zasadami panującymi w ośrodku Sonacotra nie wolno im spać w jednym pokoju. Kassim nie lekceważy przepisów, ale informuje obie rodziny, że zamieszkali razem. Sytuacja staje się poważna.

Trzy miesiące później brzuch mamy jest już wyraźnie zaokrąglony. Tato szuka większego mieszkania dla naszej trójki. Znajduje trzypokojowy lokal, w którym mieszkamy do dziś: rodzice, siostra, dwaj bracia i ja. Ale nie wypada przecież mieć dziecka bez ślubu. Dziadkowie spotykają się i omawiają szczegóły. Kiedy wszystko zostaje ustalone, imam udziela rodzicom ślubu. Mogę spokojnie przyjść na świat.

Gorzki smak

Otwieram oczy. I od razu chce mi się płakać i krzyczeć. Nic się nie zmieniło. Wysokie fale za każdym razem próbują przewrócić moją prowizoryczną tratwę.

Koszmar trwa. Mam sucho w gardle. Chce mi się pić i zaczynam być głodna. A może to tylko złudzenie? W każdym razie boli mnie brzuch i powoli staje się to nie do zniesienia.

Jaki był mój ostatni posiłek? To było w samolocie. Stewardesy roznoszą posiłki. Dostaję coś na tacce. Na pierwszy rzut oka to kurczak z puree i liściem sałaty. Ale w smaku nie przypomina ani kurczaka, ani puree i sałaty. Posiłek smakuje jak ze szkolnej stołówki, a nawet gorzej. Według mnie jest po prostu niejadalny. Siedzący przede mną starszy pan, śmierzący nikotyną, połyka jedzenie, głośno mlaskając. Powstrzymuję się przed oddaniem mu swojej porcji. Mama zmusza mnie do jedzenia. Sama zjada wszystko. Odwraca się w moją stronę i mówi:

– Bahiu, jedz, musisz mieć siłę na tak długą podróż. I dużo pij.

Kończę jeść kurczaka i sałatkę owocową, która smakuje jak plastik. Stewardesy zabierają tacki. Pan przede mną pyta, czy mógłby dostać dodatkową porcję.

– Oczywiście, proszę pana, nie ma problemu. Już przynoszę – odpowiada stewardesa.

* * *

Zdrowo się odżywiać i dzielić wspólnie smaczny posiłek – to priorytety w naszym domu. Wydatki na żywność stanowią dużą część naszego budżetu. Pieniądze wydajemy zwłaszcza na świąteczne obiady i kolacje, które przygotowujemy dla rodziny i bliskich znajomych.

Z okazji święta Id al-Adha, czyli Święta Ofiar, [Najważniejsze święto muzułmańskie, które upamiętnia ofiarę Abrahama. Święto trwa cztery dni. W tym czasie muzułmanie modlą się w meczetach, recytują Koran, rozdają prezenty i datki biednym, a każdy ojciec rodziny jest zobowiązany złożyć w ofierze barana, wielbłąda lub krowę.] pomagam mamie w przygotowaniu *pilao* i *mkatra sinia*, pożywnych tradycyjnych komoryjskich potraw. *Pilao* to piersi z kurczaka i ryż z szafranem, które dusi się w sosie z cebuli, pomidorów, czosnku i cynamonu, z odrobiną mielonej kawy dla wydobycia smaku. Ale najbardziej lubię ciasto *mkatra sinia*. Mama wsypuje ryż z Surinamu do garnka z wodą i zostawia na dwie godziny, aby napęczniał. Następnie uciera na tarce orzech kokosowy i miksuje razem z namokniętym ryżem. Miesza masę z drożdżami i cukrem waniliowym, po czym całość wkłada do pieca. Po upieczeniu złociste ciasto jest wyśmienite. Kiedy rodzina przychodzi do nas na *mkatra sinia*, atmosfera **Gorzki smak** uroczystego posiłku przywodzi mi na myśl Boże Narodzenie, dzień urodzin taty.

W dni powszednie muszę pomagać mamie w kuchni. Aby zrobić mi przyjemność, mama czasem przygotowuje dla mnie *mkatra sinia* bez okazji, ponieważ wie, jak

bardzo mi smakuje. Niekiedy wieczorem, gdy jestem zmęczona po ciężkim dniu w szkole, nie mam ochoty pomagać mamie, ale też wiem, że muszę. Tato nie pomaga w domu. Kładzie się wcześnie spać, żeby wstać o wpół do czwartej rano do pracy. A mama musi się zajmować całym domem i Badawym, Badian, Badrou... Ponieważ jestem najstarsza, to ja muszę być samodzielna i odpowiedzialna.

Na myśl o *mkatra sinia* aż ściska mnie w żołądku. Nie czuję już smaku. Zresztą może to i lepiej, bo zapach benzyny rozlanej wokół mnie był nie do zniesienia.

* * *

Myślę o Betty, mamie Elodie. Naprawdę bardzo ją lubię. Ma czarne, krótko przycięte włosy i piękną skórę Haitanki. W przeciwieństwie do Elodie nie nosi okularów. Betty jest najlepszą przyjaciółką mamy. Nasze rodziny często się odwiedzają. Kiedy przychodzimy do nich, Betty najczęściej przygotowuje typowe potrawy kuchni francuskiej. Rzadko częstuje nas haitańskimi specjałami, bo jej córki ich nie lubią, z wyjątkiem marynowanego kurczaka. Betty nauczyła mnie przyrządzać tę potrawę. Kiedy oni przychodzą do nas, mama podaje czasami coś z kuchni komoryjskiej. Stoję wtedy obok niej i przyglądam się, jak przygotowuje potrawy.

Robię to z ciekawości, mama nie musi mnie zachęcać. Nie umiem piec skomplikowanych ciast, ale

dobrze sobie radzę z prostymi przepisami. Najlepiej wychodzą mi pieczone banany i faszerowana mięsem ketmia. Ketmia to warzywo, które rośnie w niektórych krajach afrykańskich. Można je upiec w piekarniku, usmażyć na grillu lub ugotować w wodzie. Ketmia faszerowana wołowiną to coś o wiele smaczniejszego niż makaron z keczupem.

Nasz ostatni etap

Już nie wiem, co robić, żeby zachować przytomność. Dlaczego prądy morskie nie zepchnęły mnie do brzegu? Mieliśmy dolecieć za dwadzieścia minut. Mam wrażenie, że stoję w miejscu. Jak to możliwe przy tak wysokich falach i silnych prądach? Jakby moje prowizoryczne koło ratunkowe było zakotwiczone w głębinach oceanu. Ten koszmar nie ma końca.

Ale co się właściwie wydarzyło? Dlaczego dryfuję na tym szczątku samolotu, dokładnie na części z okienkiem, o które się bardzo mocno opierałam, żeby z wysoka dostrzec wybrzeże?

Przypominam sobie samolot. Ostatni etap lotu... Chciałabym oprzeć głowę na ramieniu mamy i zasnąć bez obawy, że spadniemy.

Zaczynam oglądać film, ale nie rozumiem dialogów, więc rezygnuję. W kabinie rozmowy cichną. Ludzie zaczynają zasypiać. Niektórzy słuchają muzyki ze słuchawkami na uszach. Dwa rzędy przed nami młody chłopak gra na konsoli. Słyszę wyraźnie rytmiczne odgłosy klikania. Wychylam się, żeby zobaczyć, w co gra. Na ekranie mały wąsaty ludzik w czerwonej czapeczce i niebieskich spodniach skacze przez przeszkody. Chłopak gra w *Mario Kart*. Pomrukuje, gdy nie uda mu się wejść w zakręt. Ja i moje koleżanki nie jesteśmy fankami gier wideo. W domu Badian ma najnowszą konsolę Nintendo

DS, ale ja nigdy na niej nie gram. Kiedyś próbowałam, ale to nie dla mnie. Zaczynam się nudzić. Biorę do ręki czasopismo, które mama przeglądała podczas lotu do Marsylii. Jest po francusku i angielsku. Próbuję czytać tekst po angielsku, żeby sprawdzić, czy coś rozumiem. Zatrzymuję się na stronach z modą. Trudno mi pojąć, dlaczego młodziutkie dziewczyny ubierają się jak bogate dorosłe kobiety. Przecież to do nich nie pasuje. Natykam się na artykuł o Angelinie Jolie i Bradzie Pittcie. Brad o wiele lepiej wyglądał bez wąsów. Przerzucam strona po stronie. Zaglądam na koniec magazynu, gdzie są informacje o wydarzeniach kulturalnych. Może napisali coś o listopadowym koncercie Jonas Brothers w Paryżu? Nie, nic nie ma. Jest tylko recenzja nowej płyty Davida Guetty *One Love*. To francuski wykonawca i uważam, że to bardzo dobra muzyka taneczna, jednak nie słuchałabym jej w domu. Na kolejnych stronach trafiam na horoskopy. Jestem spod znaku Lwa. Autorkę rubryki widać na zdjęciu na górze strony. To dość ładna brunetka. Czytam: „Nie należy pozwolić ponieść się energii. Trzeba dobrze wykorzystać jej nadmiar”. Oto cała ja! Nie ma sensu więcej czytać. Wkładam gazetę do kieszeni przed fotelem mamy. Mama zasnęła, niewielki uśmiezek, niby półksiężyc, pozostał w kąciku jej ust. Chłopak nadal nerwowo klika w Nintendo DS. Chociaż jest czarny jak ja, teraz, z przejęcia, widzę na jego policzkach wypieki. Nikt już nie rozmawia. Gasną pojedyncze lampki nad siedzeniami. Głowy pasażerów opadają na oparcia foteli.

Wstaję, żeby rozprostować nogi. Idę aż na tył kokpitu. Trochę nami trzęsie. Jesteśmy chyba gdzieś nad Egiptem. Patrzę na podświetlany ekran, na którym widać położenie samolotu, żeby sprawdzić, czy mam rację. Nagle pod stopami poczułam drżenie. Żeby nie upaść na pogrążoną we śnie starszą kobietę, przytrzymuję się oparcia fotela. Mam nadzieję, że samolot nie wpadnie w turbulencje akurat wtedy, gdy nie jestem przypięta pasami. Ale maszyna natychmiast wyrównuje lot. Małe czerwone lampki, które sygnalizują pasażerom, żeby usiedli w fotelach i zapięli pasy, nawet się nie zapaliły. Idę do toalety, a potem wracam na swoje miejsce. Większość podróżnych śpi. Siadam w fotelu.

Mama ma zamknięte oczy, a ja się nudzę i nie wiem, co robić. Chciałabym z nią porozmawiać i powiedzieć jej, jak bardzo się cieszę, że lecimy na Komory, nawet jeśli będzie mi brakować taty i rodzeństwa.

Chyba wszyscy pasażerowie śpią – poza mną i chłopakiem grającym na Nintendo DS. Tak bardzo się nudzę, że gdybym nie była nieśmiała, pożyczyłabym od niego konsolę, żeby się czymś zająć. A może sięgnąć po książkę, którą dostałam w szkole? Przed wyjazdem przeczytałam kilka stron. To opowieść o rozwiedzionej matce, która często zmienia partnerów. Pewnego dnia jej córka zakochuje się w jednym z jej mężczyzn. Kiedy ten opuszcza matkę, córka ucieka... Wyjmuję książkę z torby i zaczynam czytać, ale nie mogę się skupić. Opieram głowę o okienko i myślę o Badian, Badrou i Badawym. Pewnie

niedługo tato położy ich spać. Mam nadzieję, że Badawy nie płakał, i że przed kolacją nie szukał we wszystkich pokojach mamy, a także starszej siostry, czyli mnie.

W pobliżu nas siedzi kobieta z dzieckiem. Pani musi mieć około trzydziestki. Jest ubrana w beżowe spodnie i kurtkę nałożoną na brązowy podkoszulek. Osobno każda z tych rzeczy jest ładna, ale razem wyglądają źle. Dziecko zaczyna płakać. Kobieta zupełnie nie wie, jak się zachować. Zamiast uspokoić malucha, zaczyna nerwowo pokrzykiwać. Pasażerowie wokoło się budzą. Mama też otwiera oczy. Obserwuje sytuację. Pewnie uważa, że ta pani jest całkowicie niezorganizowana i nie umie się zająć swoim dzieckiem. Wreszcie kobieta woła stewardesę. Najpierw rozmawiają po angielsku, a potem po komoryjsku. Mama trochę kpi z tego, że można się wystraszyć płaczu własnego dziecka. Patrzę na nią. Jest jeszcze piękniejsza, kiedy jej oczy się śmieją.

Mama często się uśmiecha, a w towarzystwie jest zawsze swobodna. Podziwiam ją za to, ponieważ ja jestem raczej nieśmiała.

Szef personelu pokładowego informuje nas, że podchodzimy do lądowania w Sanie. Kobieta z dzieckiem panikuje, bo nie może znaleźć swojego pasa bezpieczeństwa. Siadam wygodnie i zapinam mój pas. Znow przyklejam czoło do okienka. Mama chwyta mnie za rękę i czule ściska. Całuje mnie w głowę. Słońce wisi bardzo nisko. Miasto widziane z lotu ptaka ma taki sam odcień ochry i czerwieni jak ziemia. Samolot spokojnie

ląduje. Pasażerowie wstają i zabierają podręczne bagaże. Tylko kobieta z dzieckiem ma jakieś problemy z wyjściem. Prosi nawet o pomoc pasażerów, którzy stoją w przejściu w pobliżu jej fotela.

* * *

Lotnisko w Sanie jest niewielkie, ale nowocześnie wyposażone. Natomiast architektura w stylu arabskim nadaje mu trochę kiczowatego charakteru. Nie wiem, czy działa klimatyzacja, bo w hali odlotów i przylotów jest upalnie. Wyraźnie czuć zapach paliwa i rozgrzanego metalu. Jestem cała spocona, w głowie mi pulsuje.

Obserwuję ludzi. Kobiety nie mają zasłoniętych twarzy, za to włosy ukrywają pod wspaniałymi czerwonymi lub czarnymi turbanami, niekiedy zdobionymi biżuterią i złotem. Mężczyźni chodzą w sięgających aż do stóp, długich białych koszulach, przypominających arabską galabiję, na które nakładają marynarki w europejskim stylu. Na nogach noszą skórzane sandały, a na głowach fantazyjnie zawiązane chusty. Ciekawe, że nikt na nas nie patrzy i wszyscy chodzą z dumnie podniesionymi głowami.

Napisy na tablicach informacyjnych są po angielsku i arabsku, dlatego niewiele rozumiem. Za to mama radzi sobie całkiem nieźle. Ustawiamy się w kolejce do odprawy celnej. Celnicy po kolei mierzą wszystkim pasażerom temperaturę, przykładając termometr do czoła.

Robią to bez jakichkolwiek wyjaśnień. Zachowują się, jakby znakowali bydło. Nie rozumiem, o co im chodzi. Pytam mamę, ale nie odpowiada. Kiedy się zbliżamy do urzędnika celnego z termometrem w ręku, przezornie puszczam mamę przodem.

Mama się uśmiecha.

– Bahiu, nie denerwuj się, oni chcą się tylko upewnić, czy nie mamy świńskiej grypy.

Gdybyśmy były chore, czekałaby nas kwarantanna! Celnik przykładła mi termometr do czoła, sprawdza temperaturę, po czym – bez spojrzenia na mnie – daje ręką znak, że mogę przejść. Bez słowa kierują nas do jednej sali, potem do następnej. Wciąż bez żadnych wyjaśnień. Mówię sobie, że to normalne zachowanie, że wszystkich tak traktują w Jemenie, nie tylko Komoryjczyków. Kiedy wrócę do Francji, zapytam tatę, który nie lubi oceniać innych, czy Jemeńczycy są rasistami. Na pewno zaprzeczy i powie: „Co też przyszło ci do głowy, Bahiu? Nie wolno tak myśleć”. Mimo to zapytam go...

Oczekiwanie na odlot się przeciąga i nikt nie przychodzi, żeby nas poinformować, jak długo to jeszcze potrwa. Przyglądam się jarzeniówkom na suficie. Pasażerowie szepczą, jakby obawiali się, że ktoś ich podsłuchuje. A może boją się przegapić komunikat o przygotowaniach do odlotu? Wreszcie dostajemy pozwolenie na wejście na pokład.

Z zewnątrz samolot linii Yemienia nie wygląda gorzej

od maszyn innych linii. Na ogonie na niebiesko-czerwonym tle widać białe logo w kształcie piłki do rugby. Ale wewnątrz niemiłe zaskoczenie – kokpit sprawia wrażenie przestarzałego. Kiedy siadam na swoim miejscu, w tylnej części samolotu, od razu uderza mnie silny odór z toalety. Mama zajmuje fotel w jednym rzędzie, a ja w drugim. Miejsca nie są obok siebie i mama woła stewarda[^] by zapytać, czy mogę się przesiąść. Mężczyzna się zgadza i siadam na miejscu obok mamy i przy oknie.

Co by było, gdybym się nie przesiadła? Czy nie wypadłabym z samolotu i wylądowała razem z mamą na Komorach? A gdybym i tak wypadła, to czy trafiłabym na ten cudowny kawałek kadłuba z okienkiem, który daje mi szansę ocalenia na wzburzonym morzu?

Upadek

Albo moje ubrania są coraz cięższe, albo mam coraz mniej sił. Chciałabym się uwolnić od moich nóg, które wazą tonę, jak również od silnie bolącej miednicy.

* * *

Znów myślę o mamie. Widzę, jak siedzi obok mnie w samolocie. To był już ostatni etap podróży...

Niebieskie obicie mojego fotela jest trochę przybrudzone, a czerwony zagłówek nie zachęca do oparcia głowy. W kabinie fruwa duża, brzęcząca mucha. Pasażerowie zaczynają protestować. Rosły, starszy mężczyzna, ubrany w tradycyjne *boubou*, czyli długą i obszerną wierzchnią suknię, wstaje z fotela. Wygląda dostojnie w szacie w kolorze indygo w srebrne gwiazdki. Bardzo elegancko pachnie – mieszaniną ambry, piżma i ziół, która aż wierci w nosie. Budzi szacunek i respekt. To musi być *hadzi* – pielgrzym. Nie należy wdawać się z nim w dyskusje. Wzywa stewardesy, które kończą rozsadzanie pasażerów.

– To nie do przyjęcia, żeby tak czuć zapachy z toalety! I w dodatku latają tu muchy! Co za wstyd! Na pokładzie są kobiety i dzieci. Proszę natychmiast coś z tym zrobić!

Stewardesa zbliża się z przesadnym szacunkiem,

jakby stąpała po miękkim dywanie. Ubrana jest w białą koszulę z krótkim rękawem i czerwoną kamizelkę. W prawej ręce trzyma spray na insekty, wodzi wzrokiem za muchą i próbuje w nią trafić płynem. *Hadzi* stoi i czeka, aż problem z muchą zostanie rozwiązany. Kiedy zajmuje miejsce w fotelu, stewardesy zamykają drzwi i proszą pasażerów o zapięcie pasów. Silniki wyją. Odrywamy się od ziemi. Naprawdę lubię ten moment. Nie można się nim znudzić. Szybko zapominam o zapachach z toalety, ale jest mi o wiele ciaśniej niż w poprzednim samolocie. Mam mniej miejsca na nogi, mimo że nie jestem wysoka. Personel pokładowy grzecznie odpowiada na pytania pasażerów. Dziwi mnie, że stewardesy i stewardzi mówią po angielsku i nie znają francuskiego. Kiedy się do nas zwracają, nie patrzą nam w twarz, jakbyśmy nie mieli oczu, i cedzą starannie słowa. Wydają mi się jacyś dziwni, ale nie ma to znaczenia.

Jest już noc. Czuję się zmęczona. Mama bierze mnie za rękę, delikatnie gładzi i przytula. Szybko zasypiam. Jednak często się budzę, ponieważ jest mi niewygodnie. Kiedy wreszcie dolecimy? Jutro będę mogła wypocząć.

Siedzący za mną mały chłopiec rozgrywa mecz piłki nożnej na niby. Hałasuje i co chwilę kopie w mój fotel. Wyobraża sobie, że ustawia piłkę i strzela karne. Raz po raz dostaję prawdziwego kopniaka przez oparcie siedzenia. Kiedy chłopiec uznaje, że trafił, krzyczy „Gol!” i cieszy się głośno, co nie pozwala mi spać, mimo że jestem naprawdę zmęczona. Mam dość jego zachowania,

ale powstrzymuję się przed zwróceniem mu uwagi. Wylecieliśmy z Paryża ponad czternaście godzin temu. Podróż i wydaje się nie mieć końca. Powinniśmy być już niedaleko. Głowa mnie swędzi, a w ustach mam całkiem sucho, choć dużo piłam. Wstaję, żeby pójść umyć zęby. To mi dobrze robi, rozprostuję nogi i przez chwilę czymś się zajmę. Nie mogę się doczekać lądowania. Chciałabym już poczuć ziemię pod nogami i świeże powietrze, przesycone na Komorach zapachem egzotycznych kwiatów i bryzą oceanu. Chciałabym już spacerować po plaży w towarzystwie moich komoryjskich krewnych.

W toalecie nie ma nikogo. Wchodzę. Pomieszczenie jest maleńkie. Mam wrażenie, jakbym była stopą, która próbuje się wcisnąć do ciasnego buta. Opieram się ramionami o ścianę nad sedesem i odkręcam kran. Woda brzydko pachnie, ale i tak odświeżam usta. Starannie wszystko wypluwam, żeby najmniejsza kropla nie dostała się do żołądka. Fatalnie byłoby zatruć się amebą jeszcze przed wylądowaniem. Gdy wychodzę, elegancki mężczyzna około trzydziestki stoi przed drzwiami do toalety. Uśmiecha się do mnie szeroko, pokazując rząd białych równych zębów. Kiedy dostrzega szczoteczkę i pastę, które wystają z mojej kosmetyczki, zaczepia mnie.

– Czekał, czekał, mała! Pożycz mi pastę do zębów, zapomniałem zabrać swojej.

Mam ochotę zapytać, po co mu pasta, skoro z takimi bielutkimi zębami może poczekać do przylotu do Moroni, ale milczę. Podaję mu pastę. Czekam, aż skończy, a on

wyraźnie się nie spieszy. Wreszcie wychodzi i oddaje mi w połowie pustą tubkę, grzecznie się uśmiechając. Wracam na miejsce. Mama chyba śpi. Personel pokładowy prosi o zapięcie pasów, ponieważ niedługo będziemy lądować. Patrzą na zegarek. Jest dokładnie pierwsza pięćdziesiąt cztery. Wreszcie dolatujemy! Wyglądam przez okienko, wypatrując Moroni i światła Wielkiego Komora, ale na zewnątrz jest całkiem ciemno, nic nie widzę. Przyklejam twarz do przezroczystej osłony okienka i staram się dojrzeć, co widać z boku skrzydeł. Nic nie dostrzegam, żadnych światła, panuje ciemność.

Wtulam się w fotel i próbuję zapiąć pas. Nagle coś wstrząsa samolotem. Nie trafiam zatyczką w zamek pasa. Serce podchodzi mi do gardła. Silne drgania nie ustają. Samolot zaczyna się zachowywać jak liść na wietrze. Musimy przelatywać przez strefę dużych turbulencji. Poprzednią maszyną tak nie rzucało. Szukam wzrokiem stewardes. Czy zajęły miejsca na siedzeniach zwróconych do pasażerów i zapięły pasy? Nie, nikogo tam nie ma. Widocznie sprzątają jeszcze w niewielkim pomieszczeniu z tyłu kokpitu. To dziwne, że ani one, ani kapitan nie mówią nic przez mikrofon, który jeszcze jakieś dwie minuty temu, gdy proszono nas o zapięcie pasów, działał. Jeżeli coś się złego dzieje, powinniśmy o tym wiedzieć.

Pasażerowie są zaniepokojeni. Rozglądają się zdezorientowani, szukając wyjaśnienia sytuacji. *Hadzi* poprawia się w fotelu. Wpatruje się w zamknięte drzwi do kabiny pilotów. Spoglądam na mamę. Ma otwarte oczy.

Nie wygląda, żeby się bała. Uśmiecha się do mnie. Sprawdza, czy ma dobrze zapięty pas. Jest całkiem spokojna. I piękna. Ma okrągłą twarz, jakby stworzoną do całowania dzieci, a jej duże, miodowe oczy są łagodne i skore do śmiechu. Można by powiedzieć, że należą do dziecka, któremu nic nie może się złego przytrafić. Wysokie czoło i cienkie brwi podkreślają regularny owal jej twarzy. Promienieje łagodnością. Tato zawsze mi powtarza, że mama i ja jesteśmy jak dwie krople wody, i że mamy taki sam tembr głosu. Mama delikatnie gładzi mnie po włosach. Odwracam się w stronę okienka i przyklejam twarz do szyby, aby dojrzeć, co się dzieje na zewnątrz. Ostry świst przeszywa całą kabinę.

Jest pierwsza pięćdziesiąt pięć. Mam wrażenie, jakbym głowę włożyła do imadła. Rozlega się ogłuszający hałas rozrywanej blachy. Wysysa mnie nadludzka siła. Nie mogę oddychać. Słyszę serię wybuchów, jeden po drugim.

Czuję silne dreszcze, jakby poraził mnie prąd, i pieką mnie nogi, od stóp po kolana. Jestem sparaliżowana. Nic już nie czuję, nic mnie nie boli. Wpadam w ciemną studnię. To już koniec.

Cud

Próbuję otworzyć oczy. Ile czasu minęło? Jak długo byłam nieprzytomna? Jestem na powierzchni czy opadam? Nie mogę oddychać. Z każdą falą do moich ust, nosa i uszu wlewa mi słona woda o posmaku benzyny. Czuję, jak kołyszę się na falach. Mam wrażenie, że tonę. Unoszę głowę nad wodę. Nagle.. . Wreszcie łapię oddech. Płuca palą żywym ogniem. Kaszlę. Pluję. Gardło mi płonie. Strasznie mnie boli lewe oko.

Dryfuję sama na oceanie, uczepiona jakiegoś nieregularnego przedmiotu. Ubranie wydaje się bardzo ciężkie. Buty wazą z tonę i ciągną mnie na dno, w niepokojącą otchłań. Ruchy, które wykonuję, żeby się utrzymać na powierzchni wody, sprawiają, że bolą mnie ramię i biodro. Pieką mnie nogi. Poruszam ramionami i biję rękami, aby utrzymać głowę nad wodą, aby oddychać, aby żyć. Wprawdzie uczyłam się pływać, kiedy na lekcjach WF-u chodziliśmy na basen, ale nigdy nie czułam się w wodzie swobodnie. Pływam raczej słabo.

Jest atramentowa, bezksiężycowa noc, mimo to dostrzegam w pobliżu szczątki jakiegoś przedmiotu. Z wielkim trudem udaje mi się dopłynąć do największej części, która wydaje się na tyle duża, że mogłabym położyć się na niej albo usiąść. Próbuję się wciągnąć na dryfującą płaszczyznę, ale to ponad moje siły. Kawałek blachy, której się uczepiłam, jest mniejszy i mniej

stabilny, niż myślałam. Nie dam rady podciągnąć nóg, bo coraz bardziej mnie boją. Jestem wykończona. Chcę już tylko zasnąć, by nigdy się nie obudzić i zapomnieć o koszmarze, który przeżywam. Ale przecież będą mnie szukać... Muszę być cały czas przytomna! Nie mogę przegapić ratowników. Znowu zmuszam się do czuwania.

Boję się panicznie. Boję się umrzeć samotnie, boję się rekinów. Czekam na ratunek, ale jak na razie nie widzę nawet najmniejszego światełka...

Kark mi zdrętwiał. Opuszczam głowę i zamykam oczy. Myślę o mojej kochanej mamie. Pewnie jest już na lotnisku i zadaje sobie pytanie, gdzie się podziałam? Z pewnością jest wściekła, że wpadłam do morza, bo nie posłuchałam jej i nie zapięłam pasa. Ale jednocześnie na pewno umiera z niepokoju o mnie.

Nagle przychodzi mi do głowy pytanie. A co, jeżeli mama jest tak bardzo na mnie zła, że postanowiła dać mi naukę i nie szukać mnie od razu? Chce mi się płakać, ale jestem tak bardzo zmęczona, że zapadam w półsen.

Po jakimś czasie dochodzę do siebie i podnoszę głowę, żeby się rozejrzeć. Oczy z trudem przyzwyczajają się do ciemności. Czuję, że lewe oko mam opuchnięte i całkowicie sklezione. Słyszę krzyk kobiet. Koncentruję się, żeby zrozumieć, kim one są i co mówią, ale szum fal nie pozwala mi rozróżnić słów. Uderzam rękami i nogami o wodę, żeby skierować się w ich stronę. Potwornie boli mnie biodro, już nie czuję nóg, ale nadal próbuję płynąć tam, skąd dochodzą krzyki, ponieważ boję się zostać

sama. Pomimo tego, że zdwoiłam wysiłki, widzę, że nie uda mi się dotrzeć do kobiet, są za daleko, to ponad moje siły. A potem kobiety przestają krzyczeć. Słyszałam te głosy na jawie albo mi się przyśniły.

Samolot znika z ekranu radaru

We Francji jest wpół do czwartej. Tato się budzi. Wczoraj wziął wolny dzień, aby odprowadzić nas na lotnisko. Teraz myje się, wkłada niebieskie, sprane dżinsy i biały T-shirt. O tej porze Badian, Badrou i Badawy jeszcze śpią. Dzwoni telefon. Tato jest zaskoczony. Tak wcześnie? Tłumaczy sobie, że to musi być Aziza, która chce powiedzieć, że dojechałyśmy i wszystko w porządku. Podnosi słuchawkę.

– Halo?

– Halo, Kassim?

Ale to nie jest głos Azizy. To Mama Gallia, przyjaciółka Azizy.

Mama Gallia ma dziwny głos.

– Kassim, włączyłeś telewizor?

– Nie, wychodzę do pracy.

– Dzwoniła Aziza?

Tato jest zdziwiony pytaniem.

– Nie. Ale o tej porze, zgodnie z planem, powinny już z Bahią dolecieć.

– Kassim, włącz telewizor, coś zobaczysz.

Mama Gallia milknie i się rozłącza. Tato odkłada słuchawkę i przez kilka sekund wpatruje się w telefon, po czym idzie do salonu i włącza telewizor. Trafia na program, który niedawno oglądał. Zmienia kanał. Nie rozumie, o co mogło chodzić przyjaciółce Azizy. I nagle

jego uwagę przykuwa czerwony pasek na dole ekranu z informacjami z ostatniej chwili. Na pasku komunikat, że samolot linii lotniczych Yemenu „zniknął z ekranu radaru”. I że wiadomość „nie została jeszcze oficjalnie potwierdzona”. Tato stoi jak skamieniały. W końcu wstaje i dzwoni do szefa, żeby mu powiedzieć, że nie może dzisiaj przyjść do pracy. Szef już wszystko wie i życzy mu powodzenia.

Tato odkłada słuchawkę i telefonuje do swojego znajomego na Komorach. Pyta go, czy samolot wylądował.

– Nie, panie Bakari, jesteśmy na lotnisku i czekamy. Widzieliśmy światła samolotu przelatującego wysoko w górze, ale jak dotąd nie wylądował. Nie wiemy dlaczego, nie wiemy, co się stało.

Tato odkłada słuchawkę. Ręce mu się trzęsą, a nogi odmawiają posłuszeństwa. Siada na kanapie. Zdaje sobie sprawę, co to znaczy, kiedy samolot spada z wysokości trzech tysięcy metrów. Oszołomiony siedzi w bezruchu. Za oknem jest jeszcze ciemno. Nie ma siły, żeby wstać i zrobić sobie kawę albo zapalić papierosa. Jest załamany. Najgorszy jest brak informacji...

Akcja poszukiwawcza

Akcją poszukiwawczą kierował pułkownik Mauplot z żandarmerii francuskiej, attache do spraw bezpieczeństwa wewnętrznego przy Ambasadzie Republiki Francji w Moroni. Później się dowiedziałam, że samolot linii Yemienia zniknął z ekranu radaru o pierwszej pięćdziesiąt pięć. Ambasador Luc Hallade zostaje natychmiast powiadomiony o wypadku i przyjeżdża na lotnisko. Jest druga trzydzieści. Wiadomość już się rozniosła po całej wyspie, dotarła do najdalszych jej zakątków i tłumy ludzi ciągną w stronę lotniska – niczym lawa, która spływa po zboczach Kartali. Pułkownik Mauplot jest zaskoczony zachowaniem tłumu. Jeszcze nic nie zostało potwierdzone, a katastrofy można się tylko domyślać. Dociera na lotnisko o drugiej czterdzieści pięć. W budynku panuje względny spokój. Za to przy drodze głównej prowadzącej do portu lotniczego – istne szaleństwo. Rodziny, które przyjechały powitać krewnych lub przyjaciół, coraz bardziej się niecierpliwią. Samoloty linii Yemienia zawsze przylatują z opóźnieniem. Dlatego wielu oczekujących ma nadzieję, że i tym razem nie chodzi o wypadek, tylko o zwykłe spóźnienie. Komoryjskie służby porządkowe też już są na lotnisku.

W głównym biurze portu lotniczego, które stanie się centrum sztabu kryzysowego, pułkownik Mauplot, reprezentujący władze francuskie, informuje o chaosie na

zewnątrz.

Rodziny zgromadzone w budynku portu lotniczego próbują się czegoś dowiedzieć. Słyszą, że pomoc jest organizowana tak na wszelki wypadek... Na lotnisko przyjeżdża minister spraw wewnętrznych Komorów. Zostaje podjęta decyzja o przeprowadzeniu lotu rozpoznawczego w strefie ostatniej znanej pozycji samolotu. Rodziny oczekujące na lotnisku odchodzą od zmysłów. O wschodzie słońca startuje samolot zwiadowczy. Kieruje się na północ od Wielkiego Komoru i dokonuje pierwszego przelotu nad miejscem, gdzie mogło dojść do katastrofy.

O szóstej podano pierwszy niepokojący komunikat. Pilot zlokalizował szczątki maszyny na morzu, na północny zachód od miasta Mitsamiouli na Komorze Wielkim. Widział głównie małe fragmenty samolotu oraz „dwa ciała na powierzchni”. Przy czym nie wiadomo, czy dryfujący na falach ludzie są żywi, czy martwi. Informacje zostają natychmiast przekazane odpowiednim służbom i pracownikom ambasady.

O siódmej trzydzieści trzy komoryjski rząd oficjalnie potwierdza doniesienia o katastrofie i prosi o pomoc ambasadora Luka Halladego.

Tymczasem większość pracowników ambasady przebywa na urloпах – jest przecież 30 czerwca. Akcję ratowniczą będzie musiała zorganizować garstka ludzi, którzy zostali na miejscu.

Pogrążone w rozpacz, ale wciąż mające nadzieję na

odnalezienie swoich bliskich, rodziny ofiar gromadzą się w budynku starego lotniska – aby nie powiększać zamieszania wywołanego licznym przybyciem mieszkańców okolicznych wiosek. A przede wszystkim dlatego, by umożliwić pracę ekipom ratowniczym. Służby ratownicze mobilizują się i działają z pełnym oddaniem. Francuskie statki, w tym jedna fregata dysponująca helikopterem, która patroluje okolice archipelagu, natychmiast zmieniają kurs. Z Reunionu startuje samolot wojskowy z nurkami i sprzętem ratowniczym na pokładzie. Amerykański charge d'affaires na Madagaskarze proponuje wysłanie Herculesa C-130 amerykańskich sił wojskowych, ogromnego samolotu z ekipą nurków-spadochroniarzy, którzy za pomocą aparatury elektronicznej są w stanie odnaleźć ciała na powierzchni oceanu i udzielić ofiarom katastrofy pierwszej pomocy na pełnym morzu.

Czas upływa. Trzeba działać. Ratownicy się niepokoją, bo prognozy pogody są niepomyślne. Morze jest coraz bardziej wzburzone. Wiatr wieje z prędkością ponad trzydziestu węzłów, w porywach nawet silniej. W pobliżu Mitsamiouli fale osiągają wysokość od czterech do pięciu metrów. Silne prądy morskie mogą zepchnąć ciała i szczątki samolotu w stronę Tanzanii, na północny zachód, i przenieść w ciągu jednego dnia nawet na odległość osiemdziesięciu kilometrów.

Niespodziewany cios

Nad Corbeil-Essonnes wstaje słońce. Zapowiada się spokojny poranek, bez wiatru, deszczu, burzy. W telewizji oficjalnie poinformowano o wypadku Airbusa 310-300 linii lotniczych Yemena. We wszystkich serwisach informacyjnych mówią tylko o tym. Samolot spadł podczas podchodzenia do lądowania w Moroni, co najmniej dwadzieścia kilometrów od wybrzeża. Morze jest bardzo wzburzone, co dodatkowo komplikuje akcję ratunkową. Na pokładzie samolotu znajdowały się sto pięćdziesiąt trzy osoby, pasażerowie i personel pokładowy, w tym sześćdziesięciu sześciu Francuzów. Wśród nich byłam ja, Bahia, córka Kassima, i Aziza, moja mama. Dla taty nie ma już Bahii, nie ma już Azizy, obie zginęły w katastrofie.

Badian, Badrou i Badawy się budzą. Kiedy tato widzi, jak jeszcze z zaspanymi oczami wchodzą do salonu, zdaje sobie sprawę, że to właśnie w takich okolicznościach trzeba pokazać, jakim jest się ojcem, to wtedy trzeba pomagać dzieciom, wspierać je i chronić. Nie jest jeszcze gotowy, by przekazać im straszną wiadomość. Musi mieć trochę czasu na znalezienie odpowiednich słów, aby powiedzieć im potworną prawdę, że nigdy więcej nie zobaczą swojej matki, że nigdy więcej nie zobaczą siostry. Tato musi znaleźć odpowiednie zdania, aby podpowiedzieć dzieciom, jak z tym dalej żyć,

i zapewnić je, że wszystko będzie dobrze, że on będzie się o nie troszczył, żeby mogły spokojnie dorastać i pomimo wszystko być szczęśliwe.

Kiedy dzieci są ubrane, tato zawozi je do swojej siostry w Combs-la-Ville, kilka kilometrów od Corbeil. Woli trzymać je z dala od dramatu, żeby nie pytały cały czas: „Tato, co się dzieje?”.

* * *

Tato stracił swoją matkę, kiedy miał dwa i pół roku. Często mi mówił, że właśnie z tej traumy czerpał siłę. Teraz robi wszystko, co w jego mocy, żeby stawić czoło rodzinnej tragedii. Wczoraj wieczorem spokojnie siedział w domu z Badian, Badrou i Badawym. Mówił im:

– Bahia poleciała z mamą na wakacje. Wrócą pod koniec lata, a my będziemy sobie spokojnie żyć.

Ale teraz tato wie, że mama i ja już nie wrócimy. Wie, że musi być silny, bardzo silny, dla Badian, Badrou i Badawyego.

Instynkt przetrwania

Zimno mi i jestem cała odrętwiała. Uderzam rytmicznie głową o coś twardego. Otwieram prawe oko. Nic się nie zmieniło. To nie jest zły sen, o którym można zapomnieć, kiedy rano budzimy się w ciepłym łóżku. Koszmar jest jak najbardziej prawdziwy. Jestem tu sama, ranna, na środku nieprzyjaznego oceanu. Nikt nie przybył mi na ratunek. Morze jest coraz bardziej wzburzone, fale wznoszą się i opadają z ogłuszającym hukiem. Jakimś cudem nie zsunęłam się z mojej szczęśliwej tratwy, kiedy byłam na wpół przytomna. Z pewnością zadziałał instynkt przetrwania, siła życia.

Już pewnie ranek, bo niebo jest czyste. Słońce świeci coraz mocniej. Boli mnie ramię i lewe oko. Bardzo chce mi się pić. Od jakiegoś czasu w ogóle nie czuję nóg. Próbuję podnieść ciężką, obolałą głowę i rozglądam się wokół. Nagle w oddali dostrzegam coś na kształt wyspy, coś żółtego i zielonego, co mogłoby być wybrzeżem i lasami na zboczach wzgórz. Krzyczę z radości – to musi być Wielki Komor. Trochę uspokojona znowu zaczynam wierzyć w uratowanie. Mówię sobie, że fale wyrzucą mnie na brzeg, tylko muszę dać się ponieść prądowi. A kiedy dotrę do stałego lądu, koszmar się skończy! Nareszcie wydostanę się z wody, zostanę uratowana, będę mogła odnaleźć mamę, mocno przytulić się do niej, będę mogła zadzwonić do taty i rodzeństwa, żeby im

powiedzieć, jak bardzo ich kocham i jak mi ich brakuje. Znow przypominam sobie *Cast Away. Poza światem*, który oglądałam wieczorem przed wylotem. Bohater filmu wylądował na bezludnej wyspie. Mam nadzieję, że ja trafię na miłych i gościnnych Komoryjczyków, którzy zawiadomią moją mamę, żeby po mnie przyjechała. Wydaje mi się, że w tym regionie nie ma bezludnych wysp. Ponadto wyraźnie widzę górę. To musi być wulkan Kartala. A jeśli to Kartala, to na pewno widzę Wielki Komor. Trudno mi ocenić, ale być może jestem jakieś trzydzieści kilometrów od Moroni i od miasteczka taty i mamy, Nioumadzaha Bambao.

Czuję, jak wraca mi nadzieja na odnalezienie mamy i rodziny. Mama w nocy na pewno nie mogła spać, tak bardzo martwiła się tym, że nie wiadomo, gdzie jestem. Pewnie zadzwoniła do taty, który z pewnością też nie jest zadowolony, że nie byłam posłuszna. Muszę znaleźć jakiś sposób na szybkie dostanie się na wyspę, żeby cały ten koszmar wreszcie się skończył. Próbuję wiosłować rękami, ale ramiona mam opuchnięte, nie czuję mięśni, nie mam już sił. Zdeterminowanie dodaje mi odwagi, ale jestem tak słaba, a prąd taki silny...

Po kilku minutach zdaję sobie sprawę, że mimo moich wysiłków oddalam się od brzegu. Próbuję wiosłować w kierunku wyspy, lecz fale spychają mnie na otwarte morze. Nie mam szans w tej walce, to bez sensu. Widzę jak wyspa, która jest moją jedyną nadzieją, nieodwołalnie znika mi z oczu. Ogarnia mnie zwątpienie.

Już wiem, że mi się nie uda, nigdy nie dotrę do brzegu. Z rozpaczy krzyczę i płaczę. Osłabłam, nie mam siły. Przestaję przebierać rękami, przestaję walczyć o życie. Tak więc umrę tutaj, teraz i nigdy już nie zobaczę mamy, nigdy nie zobaczę ojca, siostry, braci, Elodie. Mojej kochanej Elodie...

Czy musiałam tak przyciskać czoło do okna w samolocie? Dlaczego napierałam na to okno tak bardzo, że wypadłam? A teraz skończę w morzu. Jestem chyba jedyną osobą na świecie, którą spotkało coś takiego. Przypominam sobie *hadziego* o surowej twarzy, a także bielutkie i równe zęby młodego człowieka, który zużył połowę mojej pasty do zębów. Myślę o chłopcu, który kopał w oparcie mojego fotela. Oni zapewne już dawno temu dotarli na lotnisko i teraz cieszą się ze spotkania z rodzinami lub wylegają w łóżku po długiej podróży. Obudzą się, będą całować bliskich, myć się, jeść owoce. Będą żyć, a ja...

Stopniowo tracę wyspę z oczu. I tracę resztkę nadziei. Nigdy mnie nie odnajdą na tych bezkresnych przestrzeniach. Poza tym pewnie szybko przestaną mnie szukać i uznają, że nie żyję, bo się utopiłam.

Poddaję się losowi – zrezygnowana, dryfująca na otwartym oceanie, wyczerpana, o krok od omdlenia.

Nie mam już nawet siły, by otworzyć prawe oko i spojrzeć przed siebie. Walczę, żeby nie zsunąć się do wody cała. Nie czuję już palców wczepionych w brzegi mojej prowizorycznej tratwy. Całe ciało mam

zesztywniałe, napięte do granic możliwości. Znajduję się w wodzie od wielu godzin i jestem wyczerpana. Mam ochotę płakać, krzyczeć, prosić, błagać, ale nie mam już sił. Pali mnie w ustach i coraz bardziej chce mi się pić. Od czasu do czasu zasypiam, jakbym traciła przytomność na kilka sekund, ale fale i strach przed ześlizgnięciem się do wody sprawiają, że budzę się natychmiast. Pamiętam też o rekinach. Wiem, że umrę. Boję się śmierci.

W końcu zapadam w rodzaj głębokiej śpiączki, która sprawia, że obojętnieję na wszystko. Przestają mi przeszkadzać chłód, falowanie morza i rekiny.

Reakcje na Komorach

Libouna Selemani Matrafi ma czterdzieści trzy lata. Jest szczupły i wysportowany. Jego zdecydowana twarz świadczy o tym, że jest mężczyzną przyzwyczajonym do stawiania czoła przeciwnościom. Libouna Selemani Matrafi jest rybakim na kutrze rybackim »Hishima«. Życie na morzu jest ciężkie, ale on musi wyżywić żonę i czwórkę dzieci. Dlatego dużo pracuje. Mieszka w ubogiej dzielnicy Mirontsy na wyspie Anjouan. A kiedy przy pływa na noc do Moroni, śpi na pokładzie kutra albo w równie biednym domu, jak ten jego w Mirontsy, przykrytym szarą i pogiętą blachą falistą. Zarówno dla niego, jak i dla wielu mieszkańców wyspy Anjouan, ryż jest luksusem, kawioem dla biedaków. O czym marzy? By dostać francuskie obywatelstwo.

Tuż po godzinie drugiej w nocy wieść o katastrofie lotniczej rozchodzi się błyskawicznie po wszystkich wyspach archipelagu i dociera do najbardziej oddalonych wiosek. Ludzie budzą się i rozmawiają na ten temat podekscytowani. Nie wiadomo jednak, gdzie doszło do wypadku. Mówi się o Hahai, niewielkim miasteczku na wybrzeżu, w pobliżu lotniska, albo o Mitsamiouli, kurorcie na półwyspie Wielkiego Komora, bardziej na północ. Według niektórych osób samolot spadł do oceanu na północny zachód od Wielkiego Komora, gdzieś pomiędzy tymi dwoma miasteczkami leżącymi w

odległości sześćdziesięciu kilometrów. To jakby szukać igły w stogu siana. Niektórzy twierdzą, że nie wiadomo, czy w ogóle doszło do katastrofy, bo brak jakichkolwiek dowodów. To tylko hipoteza. Ale co mogło się stać z samolotem? Zniknął z ekranu radaru wieży kontrolnej na krótko przed drugą w nocy. Nie trzeba oficjalnego potwierdzenia, żeby wyciągnąć wnioski. Wszyscy mają jeszcze w pamięci katastrofę samolotu linii Air France u wybrzeży Brazylii, która wydarzyła się miesiąc temu. Wielu mieszkańców wysp podejrzewa, że sytuacja się powtórzyła. Ale nikt nie wie, jak daleko od białych plaż i przepięknej laguny doszło do wypadku. Wiadomo jedynie, że samolot zniknął z ekranu radaru na północny zachód od wyspy.

* * *

Mitsamiouli leży w odległości osiemdziesięciu kilometrów od Moroni. To jedyny ośrodek turystyczny na Wielkim Komorze, z luksusowymi hotelami dla zagranicznych turystów. To również miejsce uważane za przeklęte. W 1996 roku, 23 listopada, spadł tu do oceanu Boeing 767 etiopskich linii lotniczych – porwany przez terrorystów. W maszynie zabrakło paliwa i runęła do wody jakieś sto metrów od plaży. W katastrofie zginęło stu dwudziestu trzech ze stu siedemdziesięciu pięciu pasażerów. Tak więc do wypadku Airbusa 310-300 doszło prawdopodobnie w tym samym miejscu.

Wąska droga prowadząca z lotniska na północ jest całkowicie zakorkowana. Ludzi ogarnęła prawdziwa gorączka. Ulice i główne drogi są zapchane przez tłum samochodów, rowerów i pieszych. Wszyscy mieszkańcy Wielkiego Komora mobilizują się do pomocy. Nie ma mowy, by kogokolwiek ze swoich pozostawić w potrzebie.

Później, kiedy mi opowiadano, jak zachowywali się ludzie, byłam naprawdę dumna, że mieszkańcy Komorów są tak pomocni. Na lotnisko przyjeżdżają lekarze. Nigdy w środku nocy nie było tak tłoczno i gwarno na wyspie, nawet wtedy, gdy wulkan był aktywny. Ekipy ratunkowe mają problemy z przedarciem się przez zatłoczone drogi.

* * *

W tym samym czasie »Hishima« stoi w porcie w Moroni, przycumowany do »Nr 071 Anj«, dużego statku handlowego z Anjouan. Na pokładzie kutra Libouna Selemani Matrafi i kapitan głęboko śpią, zmęczeni po ciężkim dniu pracy. W tym czasie major Said Alimadi z obsługi portu w Moroni musi zorganizować pomoc dla ofiar katastrofy i szuka jednostek, które mogą szybko wypłynąć. Dla rozbitków liczy się każda minuta. Ocean jest chłodny, wzburzony – ludzie mają małe szanse na przetrwanie w takich warunkach. W porcie cumuje zaledwie kilka statków i te, które zgodziły się wziąć udział w akcji ratunkowej, powinny bezzwłocznie

wyruszyć w morze. Ale małe jednostki nie mogą wypłynąć, ponieważ meteorologowie zapowiadają w najbliższych godzinach wysoką falę. Major Said Alimadi wchodzi na pokład kutra i budzi kapitana oraz Libounę Selemaniego Matrafię. Obaj chcą pomóc, ale mechanik pokładowy, bez którego nie można wypłynąć, bo to zbyt niebezpieczne, śpi gdzieś w mieście i nikt nie wie, gdzie dokładnie. Dlatego natychmiast trzeba znaleźć inne rozwiązanie. Mężczyźni przechodzą na statek handlowy »Nr 071 Anj«.

Major budzi kapitana statku, który na szczęście śpi w swojej kabynie. Informuje go o katastrofie.

– Samolot rozbił się w pobliżu wyspy. Trzeba natychmiast rozpocząć poszukiwania rozbitków. Musimy im pomóc.

Kapitan statku, Cyrille Doe, jest oficerem marynarki handlowej. Reaguje błyskawicznie. Budzi szefa mechaników i marynarzy. Załoga jest gotowa.

Libouna Selemani Matrafi i kapitan kutra proponują, że popłyną statkiem. Nie chcą beczynn timer czekać w porcie na złe wieści. Ich propozycja zostaje z ochotą przyjęta. Dobrze zrobili. Przeznaczenie tak chciało. Na pokład wsiadają również komoryjski żandarm i celnik. Statek wypływa jeszcze przed trzecią.

Tratwa na morzu

Pułkownik Ismael, który koordynuje akcję ratunkową w imieniu władz komoryjskich, podaje kapitanowi statku »Nr 071 Anj« pierwszą, niedokładną jeszcze pozycję domniemanego miejsca katastrofy.

– Wypadek wydarzył się w okolicy północnego przylądka, za miejscowością Hahaia. To jest około trzydzieści kilometrów na północ od Moroni.

To wszystko. Nic więcej nie wiadomo. Nikt nie wie, gdzie rozbił się samolot. I nikt jeszcze nie wie, że przeżyłam i na wpół przytomna czekam na ocalenie.

* * *

Libouna Selemani Matrafi stoi na mostku kapitańskim. Statek jest duży, biały, o trochę zardzewiałym kadłubie, z metalowym mostkiem pomalowanym jasnozieloną farbą. Jest ciemna noc, a morze – które wczoraj, kiedy wpływali do portu, było spokojne – zaczyna się burzyć. Komoryjska flaga na maszcie statku łopocze wraz ze wzmagającym się wiatrem. Libouna Selemani Matrafi patrzy w niebo i sprawdza kierunek wiatru. Kapitan dołącza do niego na mostku. Świta. Na wschodzie niebo zaczyna się rozjaśniać. Dwaj mężczyźni znają się wystarczająco długo, żeby rozumieć się bez słów.

* * *

Libouna Selemani Matrafi jest jedną z wielu osób, które w środku nocy odpowiedziały na apel o pomoc. Z Moroni, Anjouan i Moheli – wysp położonych najbliżej Wielkiego Komora – setki rybaków zmieniają kurs lub specjalnie wyruszają na morze w miejsce katastrofy, w okolice północno-zachodniego wybrzeża wyspy. Wśród nich są marynarze, rybacy, przemytnicy. Podnieśli kotwice w środku nocy i wypłynęli na morze w poszukiwaniu ewentualnych rozbitków. Ci, którzy już są na morzu, zwijają sieci, aby przyłączyć się do poszukiwań. Katastrofa wydarzyła się na Komorach. Samolot linii lotniczych Yemena, który przewoził ich rodziny: braci, matki, synów, krewnych, wpadł do oceanu. Mimo niewielkich szans na znalezienie kogoś żywego, wszyscy mobilizują się do działania. Liczy się czas. Nawet jeżeli przeżyła tylko jedna osoba, trzeba się spieszyć. Większość uczestników tej spontanicznej akcji ratunkowej wraca o świcie do portów, ponieważ zbiera się na burzę. Tylko duże łodzie są w stanie pokonać wysokie fale. Te mniejsze ryzykują wywrócenie i zatopienie w oceanie.

* * *

W tym czasie ja – samiuteńka, uczepiona mojej

prowizorycznej tratwy, targana przez fale niebezpieczne nawet dla łodzi rybackich – dryfuję bezsilna i bezbronna.

O czwartej trzydzieści »Nr 071 Anj« płynie w kierunku Mitsamiouli. Dawno temu statek minął miasteczko Hahaia i teraz przeczesuje całą strefę. Powoli wstaje nowy dzień.

O szóstej jednostka dopływa w okolice Mitsamiouli. W bladym świetle poranka załoga uważnie obserwuje powierzchnię oceanu w poszukiwaniu jakiejś wskazówki lub śladu katastrofy. Statek krąży w wyznaczonym rejonie, ale nigdzie nie widać ani ludzi, ani szczątków samolotu. Bez dokładnych współrzędnych zadanie jest niemożliwe do wykonania. Cyrille Doe decyduje się zawrócić do portu w Moroni. W drodze powrotnej statek mijają dwie inne jednostki, które płyną w rejon katastrofy. Na pokładzie »A1 Marwal« znajduje się szef kapitanatu portu w Moroni. To on dowodzi operacją ratunkową i utrzymuje łączność z samolotem zwiadowczym komoryjskich linii lotniczych. Teraz drogą radiową prosi »Nr 071 Anj«, aby zawrócił i znów popłynął w okolice Mitsamiouli. Z lotniska ma wystartować samolot, który spróbuje zlokalizować szczątki maszyny. Jak tylko pilot coś zauważy, natychmiast poda dokładne namiary.

Statek »Nr 071 Anj« zawraca. Trzy łodzie płyną razem na północny zachód. W tym samym czasie z lotniska w Moroni startuje czterosilnikowy samolot i również kieruje się na północny zachód, aby przeszukiwać rejon wypadku. Libouna Selemani Matrafi, stojąc w

punkcie obserwacyjnym na mostku, słyszy silniki przelatującego nad nimi samolotu.

Jest szósta trzydzieści. Załoga samolotu dostrzega plamę oleju, szczątki maszyny i dwa ciała. Natychmiast podaje nawigatorowi statku »A1 Marwal« dokładne współrzędne, które zostają przekazane kapitanom pozostałych jednostek. Te współrzędne to: 10°49'850 S, 43°14'980 E.

* * *

Słońce dawno już wzeszło. Morze jest wzburzone. Metalowy kadłub statku »Nr 071 Anj« trzeszczy nieprzyjemnie. Z powodu płaskiego dna o statek twardo uderza każda fala. Trudno się nawiguje taką jednostką, to ciężka praca, zwłaszcza przy kursie pod prąd. Słońce stoi już wysoko na niebie. Świeci ostro. Libouna Selemani Matrafi obserwuje powierzchnię wody z mostku kapitańskiego. Jest dziewiąta trzydzieści. Tak jak wszyscy na statku, Matrafi już wie, że załoga samolotu zwiadowczego zauważyła dwa ciała i fragmenty wraku unoszące się na falach. Samolot przeleciał wiele razy nad ciałami ofiar, ale żadnych oznak życia, żadnej podniesionej ręki albo głowy ani innego gestu nie zauważono. Potem samolot odleciał na lotnisko w Moroni, żeby zatankować.

Godzina jedenasta. Samolot powraca i precyzyjnie naprowadza statki na miejsce katastrofy. „Widzieliśmy co

najmniej pięć ciał” – taki komunikat dociera do jednostek prowadzących poszukiwania. Jednak pogarszające się warunki meteorologiczne znacznie ograniczają widoczność. Na mostku »Nr 071 Anj« nikt się nie odzywa. Członkowie załogi słyszą warkot silników samolotu. Pilot przez radio podaje nawigatorowi ze statku »A1 Marwal« nowe współrzędne: 11°05’36 S, 43°16’71 E.

Godzina jedenasta piętnaście. Kiedy »Nr 071 Anj« podpływa do miejsca tragedii, na pokładzie zapada grobowa cisza. Major Said Alimadi mówi stłumionym głosem:

– Niedługo tam będziemy. Ale musimy się spieszyć. Załoga samolotu ostrzegła nas, że silne prądy morskie i burza Spychają ciała oraz szczątki na pełne morze. Według obliczeń ciała ofiar katastrofy mogły już zdryfować jakieś osiemdziesiąt kilometrów w kierunku Tanzanii.

Statek »Nr 071 Anj« dociera na miejsce. Na ogromnej powierzchni wzburzonego oceanu Libouna Selemani Matrafi widzi dziesiątki przedmiotów unoszących się na falach: lotnicze fotele, paczki, bagaże, kamizelki ratunkowe, fragmenty kadłuba samolotu, ale nie widzi żywych ludzi ani ciał ofiar. Statek zwalnia, wpływając w rejon wypadku. Marynarze wstrzymują oddech. Minuty płyną coraz wolniej. Pięć, dziesięć, dwadzieścia minut...

Godzina jedenasta dwadzieścia pięć. Oczy Libouny

Selemaniego Matrafiego są czerwone od słonej wody i zmęczenia. Od kilku godzin wyteża wzrok, by w chaosie burzy dostrzec najmniejsze oznaki ludzkiego życia. Nagle głęboka poprzeczna zmarszczka pojawia się na jego czole. Coś dostrzegł. A raczej kogoś. Wyraźnie widzi młodą dziewczynę. To mnie zauważył, mnie, Bahię Bakari! Nareszcie! Jest jedenasta dwadzieścia pięć i, choć jeszcze tego nie wiem, moje modlitwy zostały wysłuchane. Wyjdę z tego koszmaru, powrócę na stały ląd, odnajdę mamę i będę mogła się do niej przytulić. Wciąż trzymam się kurczowo mojej prowizorycznej tratwy, która – jak się potem dowiem – była częścią kadłuba, fragmentem poszycia z oknem. Targana przez fale w górę i w dół, dryfuję jakieś dwadzieścia metrów od statku. Otacza mnie plama paliwa. Załoga zdaje sobie sprawę, że przy tak wzburzonym morzu moje uratowanie się to cud. Libouna Selemani Matrafi mruży oczy. Widzi tylko górną część mojego ciała. Nogi mam zanurzone w wodzie. Nie ruszam się już, pogodzona z tragicznym losem, który zsyłają mi niebiosy, pogodzona ze śmiercią. Libouna krzyczy w moją stronę. Podnoszę głowę. Widzę go, mojego wybawcę, widzę statek! Są tak blisko! Krzyczę ze szczęścia, a oni machają do mnie i też coś krzyczą. Jestem uratowana! Żyję! W tym momencie, ogarnięta emocjami, nie zdaję sobie sprawy, że najgorsze jeszcze przede mną.

Statek pod pływa. Załoga jest poruszona. Wszyscy marynarze zebrali się przy relingu, ale coraz trudniej utrzymać się na nogach, tak silne są fale. Kapitan zmienia

kierunek, żeby do mnie podpłynąć. Libouna Selemani Matrafi jest odważny i ma dobre serce. Jest przekonany o tym, że nie na darmo tu przyplłynął, że nie znalazł się tu przez przypadek. Wie, że jego przeznaczeniem jest uratowanie ofiary katastrofy, czyli mnie. Obserwuje fale. Niektóre są tak duże, że zalewają pokład statku. Skok do tego wzburzonego morza jest równoznaczny z samobójstwem. Ale on się nie waha. Wierzy w to, że takie jest jego przeznaczenie. Ktoś musi skoczyć, aby można było mnie uratować. Wydaję mu się taka delikatna, tak bezbronna w tym piekle burzy. Rozbiera się, chwyta starą kamizelkę ratunkową z przeżartego przez sól korka, nakładają i schodzi z mostku kapitańskiego na pokład. Jeden z członków załogi wyrzuca za burtę koło ratunkowe. Statek podpływa bardzo blisko mnie. Podejmuję ostatnią próbę i resztkami sił staram się podpłynąć do rzuconego koła. Bezskutecznie. Zaczynam wpadać w panikę. Koniec mojej męki wydawał się taki bliski, byłam na wyciągnięcie ręki, a tymczasem... Boję się, żeby marynarze nie zrezygnowali z wyciągnięcia mnie z wody z obawy o własne życie. I wtedy Libouna Selemani Matrafi skacze. Wynurza się na powierzchni między dwiema ogromnymi falami, szuka wzrokiem koła ratunkowego i łapie je. Teraz płynie w moją stronę.

Płynie z taką siłą woli, jakby od niego miało zależeć przetrwanie całego narodu, jakby walczył o uratowanie całego archipelagu. Płynie z misją.

Drugie narodziny

Libouna Selemani Matrafi wkłada kamizelkę ratunkową i skacze do wody. Jest jedynym marynarzem, który się na to zdobył. Serce wali mi w piersiach. Znowu budzi się we mnie nadzieja. Chciałabym mu pomóc, podплыnąć do niego, ale jestem cała zeszywniała i tak bardzo opuchnięta, że nie mogę puścić się mojej tratwy. Mężczyzna szybko płynie w moim kierunku. Czasami, gdy nadchodzi wysoka fala, tracę go z oczu. Wtedy od razu ogarnia mnie przerażenie. Boję się, że on utonie, a wtedy i ja nie mam szans na ratunek. Gdy za chwilę pojawia się na powierzchni, oddycham z ulgą. Widzę jego twarz coraz wyraźniej. Patrzy mi prosto w oczy. Wydaje mi się, że jeśli stracę z nim kontakt wzrokowy, utonę. Zostało mu jeszcze kilkanaście metrów. Zbliża się. Trzyma koło ratunkowe na linie, która łączy go ze statkiem. Jest kilka metrów ode mnie. Dopływa. Kładzie mi rękę na ramieniu. Czuję jego ciepły dotyk, który przynosi otuchę.

– Nie ruszaj się. Pozwól mi działać. Wyciągnę cię z tego – zapewnia mnie.

Poddaję się bezwolnie. Próbuję powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że go widzę, ale nie udaje mi się wydobyć słowa. Libouna Selemani Matrafi popycha mnie w stronę statku, podtrzymując mi głowę. Wreszcie dopływamy. Marynarze rzucają w naszą stronę drugie

koło ratunkowe. Mój wybawca przypina mnie do niego, a pozostali mężczyźni wciągają na pokład. Ale pomagając mi, Libouna wypuszcza z rąk swoje koło ratunkowe. Fale i silny prąd natychmiast go porywają. W jednej chwili znosi go ponad sto metrów od statku. Akcją ratowania mnie dowodzi z mostku kapitańskiego major. Widzę, że jest bardzo zaniepokojony. Nakazuje mężczyznom, aby szybko zanieśli mnie do kabiny i poczekali na niego. Boi się o Libounę.

Zostaję przeniesiona do kabiny i położona na koi. Zimno mi i cała się trzęsę. Nie mogę przestać myśleć o tym, jak wszystko mogło się skończyć. Ubranie przesiąknięte morską wodą przyklej a się do mojej skóry. Buty niemal przyrosły mi do stóp. Wszystko wydaje mi się takie nierealne. Nadal nie wierzę, że udało mi się wydostać z wody. Słyszę jak metalowy kadłub statku trzeszczy pod naporem fal. Z poziomu wody burza nie wydawała się tak silna.

Na zewnątrz major i część załogi próbują wyłowić Libounę, mojego wybawcę. Statek zawraca i zbliża się do niego. Rzucają mu koło ratunkowe, ale fale są coraz wyższe i Libouna musi walczyć z żywiołem, aby złapać koło. W końcu wyczerpany, resztkami sił chwyt a koło i załoga natychmiast wyciąga go z wody, zanim będzie za późno. Nigdy nie zapomnę, że jego poświęcenie i gotowość niesienia mi pomocy mogła kosztować go życie.

Kiedy Libouna zostaje wciągnięty na pokład, ktoś z załogi zauważa kolejne dwa ciała unoszące się na wodzie

w odległości kilku metrów od statku. To biały mężczyzna w jasnej koszuli i Komoryjczyk w krótkich, czarnych spodenkach. Nie dają oznak życia. Major nie ma wyboru, musi odpłynąć. W panujących warunkach pogodowych nie zaryzykuje ponownym wysłaniem kogoś do wody, aby wyłowić ciała. Podjęcie takiej decyzji jest bardzo trudne, ale nie zastanawia się długo. Jego najważniejszym zadaniem jest uratowanie wszystkich żyjących ofiar katastrofy, które mogą jeszcze gdzieś dryfować... Dla żyjących każda minuta może mieć znaczenie. Major zawiadamia przez radio załogę statku »A1 Marwał«, że wyciągnęli z wody żywą dziewczynkę, i podaje kapitanowi dokładne współrzędne dryfujących ciał, żeby spróbował do nich dotrzeć, jeżeli stan morza na to pozwoli. Jednak »A1 Marwał« nie dopłynie na miejsce i ciała tych dwóch mężczyzn już na zawsze pozostaną na dnie oceanu...

Godzina jedenasta trzydzieści. Kapitan statku »A1 Marwał« powiadamia władze komoryjskie o odnalezieniu dziewczynki. Podczas przekazywania informacji omyłkowo podano, że uratowano niemowlę. Dopiero o trzynastej czterdzieści osiem kapitan statku »A1 Marwał« prostuje, że wyciągnięto z wody żywą dziewczynkę.

* * *

Drzwi do kabiny, w której leżę, otwierają się i wchodzi major. Jest wzruszony. Długo mi się przygląda.

Mówi spokojnie, jak bardzo są szczęśliwi, że mnie odnaleźli. Nie powinnam się martwić, teraz już wszystko będzie dobrze. Jestem bezpieczna, niedługo dopłyniemy do portu, skąd zabiorą mnie do szpitala, aby opatrzyć mi rany. Major pyta, jak się nazywam?

– Bahia Bakari.

– Bahia Bakari. Z której wioski?

– Bahia Bakari z Nioumadzaha Bambao.

Do dzisiaj jestem zdumiona, że jako miejsce mojego pochodzenia odruchowo podałam nazwę rodzinnej wioski rodziców na Komorach. Normalnie odpowiedziałabym, że jestem z Corbeil-Essonnes, ale trzeba było aż tak wielkiej tragedii, żebym zdała sobie sprawę z mojego komoryjskiego pochodzenia.

* * *

Stanowisko pomocy medycznej dla ofiar katastrofy zorganizowano w pobliżu Mitsamiouli. Zmobilizowano około tysiąca ludzi, głównie żołnierzy, lekarzy, żandarmów i nurków. Wielu mieszkańców zgłosiło się do pomocy na ochotnika. W wielkim, nowoczesnym hotelu Galawa urządzono szpital polowy.

* * *

W tym czasie major wciąż jest przy mnie i ciągle do mnie mówi, żebym nie zasnęła. Chce mi się pić,

potwornie chce mi się pić. W kabinie jest gorąco, ale nie mnie. Mnie trzęsie z zimna, nie mogę się rozgrzać. Bardzo źle się czuję. Major radzi, żebym położyła się na boku.

– W takiej pozycji będzie ci się chciało wymiotować. Przebywałaś w oceanie przez dziewięć godzin. W żołądku musisz mieć pełno morskiej wody. Trzeba go opróżnić.

Major wie, o czym mówi. Zaledwie przewróciłam się na bok, zaczynam wymiotować. A potem nie mogę powstrzymać torsji. Drzę cała, wstrząsana spazmami, łzy same płyną mi z oczu. Wymiociny śmierdzą benzyną. Major kiwa głową i dodaje mi otuchy.

– Nałykałaś się paliwa z samolotu.

Teraz zaczynam płuć krwią. Major tłumaczy mi, że słona woda musiała się dostać do płuc. Wzywa pokładowego kucharza i prosi o szklankę ciepłej wody z cukrem. Jeszcze przez chwilę mam leżeć na boku. Piję małymi łyчками. Po każdym łyku major wkłada mi palce do gardła, żeby sprowokować wymioty. Nawet kropla paliwa nie powinna pozostać w moim żołądku, ponieważ może to mieć poważne konsekwencje. Mdleję na kilka minut. Kiedy przytomnieję, czuję się jak sparaliżowana. Wydaje mi się, że cała jestem potłuczona. Major rozmawia przez radio z szefem kapitanatu w Moroni. Odwraca się w stronę pozostałych mężczyzn w kabinie i mówi:

– Może mieć objawy hipotermii. Trzeba ją rozebrać, żeby się rozgrzała.

Wokół mnie są sami mężczyźni. Boję się, ale nie

wiem czego. Czy boję się, że mnie zgwałcą, chociaż właśnie mnie uratowali, czy może nie chcę, żeby widzieli mnie nago? Krzyczę do marynarzy, żeby się do mnie nie zbliżali.

Patrzą na mnie łagodnie. Rozumieją i szanują moje zawstydzenie.

– Bahiu, musimy zdjąć z ciebie mokre ubranie i zawinąć cię w koce, żebyś się rozgrzała. Nie martw się. Nie będziemy na ciebie patrzeć, obiecuję.

Najpierw zdejmują mi buty. Potem przykrywają mnie prześcieradłem i delikatnie rozcinają nożyczkami moje ubranie: dzinsy, następnie biało-różową koszulkę i czerwony podkoszulek. Proszę ich, żeby nie wyrzucali moich ubrań, bo nie będę się miała w co ubrać, kiedy dopłyniemy do portu. Widzę ich zdziwione spojrzenia, ale spełniają moją prośbę i odkładają ubrania na bok. Major siada przy mnie i próbuje opatrzyć mi lewe oko, a także rany za uchem, na ramionach, łydkach, kolanach. Na całym ciele i na twarzy mam oparzenia. Ręce i nogi mam opuchnięte i z trudem mogę odwracać głowę. Wciąż nie patrząc na mnie, marynarze zawijają mnie w pięć grubych koców. Czuję, jak powoli moje ciało się rozgrzewa i dreszcze stopniowo ustępują. W końcu głęboko zasypiam, mimo że statkiem strasznie buja, ponieważ sztorm nie ustaje.

Na ziemi przodków

Budzę się około szesnastej. Major siedzi na krześle obok mnie i czuwa, nie spuszczać ze mnie oczu. Tłumaczy, że płyniemy w kierunku portu w Moroni. Czeka nas dłuższa trasa i trudna przeprawa, ale z powodu burzy nie mamy innego wyboru. Statek takiej wielkości jak »Nr 071 Anj« nie podpłygnie zbyt blisko plaży w Mitsamiouli, gdzie w hotelu Galawa urządzono szpital polowy. Żeby mnie dowieźć na ląd, potrzebny byłby ponton lub mała łódź rybacka. Jednak z powodu sztormu manewrowanie takimi małymi jednostkami jest bardzo niebezpieczne. Pięciometrowej wysokości fale, które rozbijają się w pobliżu Mitsamiouli, tworzą zaporę nie do przebycia. Nie można również przetransportować mnie helikopterem. Statkiem za bardzo kiwa i operacja wciągnięcia mnie na linie do śmigłowca byłaby zbyt ryzykowna.

* * *

Wtedy zadaję majorowi nurtujące mnie od kilku minut pytanie:

– Gdzie jest moja mama?

Na jego twarzy nie drgnie nawet jeden mięsień. Nie patrząc na mnie, odpowiada:

– Inny statek ją wyłowił. Powinna już być na wyspie.

Nie martw się, czeka na ciebie.

– Musicie mnie szybko zawieźć do mamy. Ona na pewno niepokoi się o mnie.

Ta krótka rozmowa wyczerpała moje siły. Powrót do Moroni wydaje się trwać całą wieczność. Przynajmniej przestałam się trząść. Ponownie zasypiam, otulona ciepłymi kocami.

Budzę się kilka minut przed dopłynięciem statku do przystani. W zatoce osłoniętej falochronami morze jest zupełnie spokojne, ale i tak podróż trwała co najmniej dziewięć godzin. Otwieram oczy. Jest po dziewiętnastej. Wyglądam przez okienko kabiny. Słońce powoli przesuwa się po niebie i zbliża do szczytu Kartali. Czuję się tak, jakbym zobaczyła Moroni pierwszy raz w życiu. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że będę poznawać kraj moich przodków w takich okolicznościach. Moroni, choć to stolica, przypomina raczej nieduże miasteczko u podnóża wysokiej góry porośniętej palmami i drzewami, których nazw nie znam. Miasteczko z miniaturowym portem. Powyżej betonowego molo, pośrodku miasta, góruje biały meczet z cienkim, szmaragdowym minaretem. Widać go z daleka, zwłaszcza od strony oceanu. Meczet dominuje nad okolicą. Małe, drewniane rybackie kutry cumują w porcie. Razem tworzą ładny widok. Niedaleko nas stoi malutki, jaskrawozielony patrolowiec z czerwonym napisem „Służba Celna Komorów” na burcie.

Zamykam oczy. Jest dziewiętnasta dwadzieścia pięć.

Na pokład statku wchodzi lekarz. Rozmawia z majorem, który zdaje mu szczegółowy raport z tego, w jakim stanie zostałam odnaleziona. Pielęgniarze delikatnie przekładają mnie na nosze, zapinając pasy, żebym nie spadła podczas przejazdu. Kiedy wynoszą mnie z kabiny, na pokładzie szukam wzrokiem Libouny, mojego wybawcy, ale nigdzie go nie widzę. Nie przyszedł do mnie do kabiny. A może był, tylko wtedy spałam? Chciałabym zobaczyć jego twarz. Zamykam oczy, żeby je chronić przed słońcem, które nadal ostro świeci, mimo że robi się wieczór. Czuję, że schodzimy ze statku. Jak dobrze znaleźć się znowu na lądzie! Słyszę szmer wielu głosów. Otwieram oczy. Są tu setki ludzi. Wszyscy przepychają się, żeby mnie zobaczyć. Niektórzy, kiedy niosą mnie obok nich, delikatnie dotykają moich włosów. Wydaje mi się, że w tłumie rozpoznaję mojego wuja Josepha, którego widziałam na zdjęciach i kasetach przysyłanych przez rodzinę z Komorów. Ojciec często mi o nim opowiadał. To jego brat, tyle że przyrodni, bo mają inne matki. Przygląda mi się z uwagą, ale chyba mnie nie poznaje. Pielęgniarze wsuwają nosze do karetki. Major chce wsiąść razem ze mną. Lekarz dziękuje mu za wszystko, co do tej pory dla mnie zrobił, ale teraz muszą działać przedstawiciele służby zdrowia. Major jest wyraźnie rozczarowany. Karetka rusza.

Pielęgniarz mierzy mi ciśnienie i podaje małutkimi łyżkami rozpuszczoną w wodzie glukozę. Słyszę klaksony samochodów i syrenę karetki. W niespełna pięć

minut dojeżdżamy do szpitala El-Maarouf w Moroni, wybudowanego przez Francuzów na długie lata przed ogłoszeniem niepodległości. Z daleka prezentuje się okazale. Karetka przejeżdża wzdłuż budynku. Pomimo zmęczenia widzę palmy rosnące przed białą arkadą. Pośrodku parkingu, na okrągłym trawniku, rośnie piękne drzewo.

Karetka się zatrzymuje i drzwi się otwierają. Znowu zamykam oczy, żeby nie poczuć bólu, bo światło jest nadal ostre. Pielęgniarze wynoszą mnie z karetki. Przed wejściem do szpitala również czeka tłum ludzi. Niektórzy robią mi zdjęcia lub kręcą filmy kamerami. Nie rozumiem, o co chodzi, co ci wszyscy ludzie tutaj robią. Z wyczerpania zaczynam mieć przywidzenia. Wydaje mi się, że wśród tłumu dostrzegam mojego ojca. Wygląda na bardzo wzburzonego i krzyczy:

– To moja córka, zostawcie ją w spokoju!

Moja ciotka z Combs-la-Ville stoi obok niego. Coś do mnie mówi, ale w tym hałasie nie jestem w stanie nic usłyszeć. W myślach mówię sobie, że to nie możliwe, żeby oni tu byli! Jak to się stało, że przyjechali z Francji tak szybko? Pielęgniarze wiozą mnie na noszach do szpitala. Z boku widzę wejście na blok reanimacyjny. Informują o tym duże turkusowe litery nad frontowymi drzwiami. Drzwi są tak zniszczone, że strach je przekroczyć. Tynk się łuszczy i odpada płatami, wszystko wygląda na stare. W głębi znajdują się drzwi do izby przyjęć. Jadę długim korytarzem. Ściany są tak samo

brudne jak ja. Wszyscy, którzy nas mijają, przyglądają mi się z dziwnym wyrazem twarzy, jakbym powróciła z zaświatów.

Dojeżdżamy do sali ze ścianami wyłożonymi jasnobrązowymi kafelkami. Pod sufitem wiszą czerwone i czarne przewody elektryczne, a na suficie widać brązowe zacieki. Zostaję delikatnie przeniesiona na łóżko. Koc, którym obłożono materac, jest granatowy, a prześcieradło jasnobrązowe. Przez małe, zakratowane okienko, znajdujące się tuż nad moim łóżkiem, do sali wpada łagodne światło. Lekarze zaczynają mnie badać i oczyszczają rany jakimś okropnie piekącym płynem. Bandażują mi prawe ramię. Kolana i nogi smarują maścią. Dezynfekują lewy policzek i okolice oka. Następnie zajmują się moim biodrem i lewym ramieniem. Potem wkłuwają kroplówkę w lewe przedramię. Czuję się cała połamana. Zastanawiam się, kiedy przyjdzie mama. Zbliża się noc. Znow zapadam w głęboki sen.

Jedyna ocalała pasażerka

W Corbeil-Essonnes tato od kilku godzin bez przerwy wpatruje się w telewizor. Ciągłe podają te same informacje, pokazują te same zdjęcia, zadają te same pytania, a gniew Komoryjczyków rośnie. Airbusa 310-300 linii lotniczych Yemienia nazywa się teraz „gruchotem”. Na stole w salonie tato ustawił zdjęcia mamy i moje. Jego oczy są już suche. Wyciąga rękę po pilota, żeby wyłączyć telewizor. Boi się ruszyć, żeby nie wybuchnąć szlochem. Badian, Badrou i Badawy są w Combs-la-Ville, u jego siostry. Słońce powoli zachodzi. Jest gorąco. Właśnie dochodzi dwudziesta.

Dzwoni komórka. To przyjaciel z żandarmerii, pochodzący z tej samej wioski, co tato. Telefonuje z Moroni.

- Kassim, jak się nazywa twoja córka?
- Nazywa się Bahia Bakari.
- Nie nazywa się Bahia Kassim?
- Nie, nazywa się Bahia Bakari.
- A więc to ona.

Po drugiej stronie zapada cisza. Mężczyzna waży każde słowo.

– Kassim, czy ty wiesz, że twoja córka żyje? Wyciągnął ją z wody pewien marynarz z floty handlowej. A teraz płyną z nią do Moroni.

Tato oniemiał, jest porażony wiadomością. Przyjaciel

mówi dalej:

– To nie był profesjonalny ratownik, nawet nie strażak, tylko zwykły marynarz. Zgłosił się na ochotnika do pomocy w poszukiwaniach. Tej nocy, Kassimie, wiele statków z archipelagu wypłynęło na poszukiwanie rozbitków. Kiedy tylko ludzie dowiedzieli się, że samolot runął do wody, natychmiast wiele łodzi wypłynęło w morze. Tymczasem na Komorach szaleje sztorm.

Tato wciąż boi się uwierzyć w moje ocalenie.

– Skąd wiesz, że to moja córka? Nigdy jej nie widziałeś.

– Wiedziałem, że jej matka, Aziza Aboudou, była w samolocie. Kiedy wyłowiono tę dziewczynkę i zapytano ją, kim jest, odpowiedziała, że nazywa się Bahia Bakari. Bahia Bakari z Nioumadzaha Bambao. Myśleliśmy, że twoja córka nazywa się Bahia Kassim. Ale potem zaczęliśmy się zastanawiać, czy to nie o nią chodzi, ponieważ na pokładzie samolotu była tylko jedna Bahia. Dlatego dzwonię do ciebie, żeby się upewnić.

Tato nie może mówić ze wzruszenia, ale chce poznać całą prawdę.

– Bahia Bakari to moja córka... Jak się czuje?

– Tego nie wiem. Jest w szpitalu w Moroni. Przeszła bardzo wiele. Wszyscy inni pasażerowie nie żyją. Cóż, jak na razie nie odnaleziono nikogo poza twoją córką. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć...

Tato wstrzymuje oddech, a potem zadaje to okropne pytanie:

– A co z Azizą?

– Kassimie, odnaleziono tylko twoją córkę, Bahię.

Tato gorąco dziękuje przyjacielowi za telefon i odkłada słuchawkę. Przypomina sobie, co mi powiedział kilka dni przed wylotem, kiedy oglądaliśmy kasetę przysłaną przez rodzinę z Komorów. Na filmie zobaczyłam moich dziadków. W tle słyhać było tradycyjne komoryjskie piosenki, które dobrze znałam z płyty Zainaby Ahmed, piosenkarki zwanej „złotym głosem z Komorów”. Tato powiedział wtedy:

– Bahiu, już wiesz, dokąd jedziesz. Poznałaś obrazy i dźwięki moich przodków, a niedługo zobaczysz swoich krewnych. Jesteś Francuzką, ale masz również rodzinę poza Francją.

Szpital

Środa, 1 lipca. Budzę się, kiedy słońce jest już wysoko. Do mojego pokoju dociera zapach rozgrzanej ziemi pomieszany z wonią hibiskusa. Spałam głęboko, ale wydaje mi się, że przez sen czułam, jak pielęgniarki sprawdzają kroplówkę i mnie osłuchują. Moje ciało jest jedną wielką raną i ciężko mi się ruszać. Powoli dochodzę do siebie po środkach nasennych, które wczoraj podali mi lekarze.

Wokół mojego łóżka stoją lekarze i pielęgniarki. Przyglądają mi się z sympatią w oczach. Jedna z pielęgniarek jest bardzo ładna. Ma turkusową przepaskę na włosach i bransoletki na rękę. Pomaga jej młody pielęgniarz z ogoloną głową. Oboje bardzo się starają, żebym dobrze się poczuła. Od razu ich polubiłam za przyjazny stosunek do mnie i delikatność. Przeszkadza mi tylko stojąca naprzeciwko mojego łóżka kobieta, która robi mi zdjęcie telefonem komórkowym – przynajmniej tak mi się wydaje. Pielęgniarki zapewniają mnie, że ta kobieta nie robi zdjęć, tylko podłącza komórkę do ładowarki...

Ale nie ufam jej. Wyobrażam sobie, że pewnie chce mnie pokazać w gazecie z poranioną głową, z kroplówką i w bandażach – ponieważ tak powinien wyglądać ktoś, kto przeżył katastrofę lotniczą. Pewnie moje zdjęcia pojawią się w kolorowych magazynach. Kobieta szybko znika.

Lekarz, który jest chyba dyrektorem szpitala, nazywa się Mohamed Charif. Jest postawnym i prawie łysym mężczyzną w dużych okularach. Nie nosi białego fartucha, jak wszyscy pozostali, ale szarą marynarkę. Siada przy moim łóżku i pyta, czy czuję się na siłach, by spotkać się z kilkoma osobami.

– Masz gości. To twoja komoryjska rodzina. A później, po południu, chciałby się z tobą zobaczyć przedstawiciel rządu z Francji.

Mówię z dużym trudem, ale udaje mi się przekazać, że się zgadzam. Lekarz zaprasza kogoś do pokoju. Widzę mojego wuja Josepha, którego rozpoznałam wczoraj w tłumie. Dla mnie to ogromna ulga – nareszcie zobaczyłam znajomą twarz. Nie znam wuja Josepha osobiście, ale tyle razy widziałam go na zdjęciach i rodzice tyle mi o nim opowiadali, że mam wrażenie, jakbym go znała od dawna. Od momentu wyciągnięcia mnie z wody wszyscy opiekowali się mną bardzo troskliwie, ale to były obce osoby. Teraz wreszcie mam przy sobie kogoś z rodziny. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie czuję się samotna. Wuj wyjaśnia mi, że czeka w szpitalu od wczorajszego wieczoru, że nie wychodził przez całą noc, bo nie chciał, żebym została sama, bez rodziny.

* * *

Moja babcia, a właściwie ciotka taty, która go wychowywała, również czeka w szpitalu. Jest bardzo

podobna do taty.

Ma łagodną, pooraną bruzdami twarz. Ubrana jest w czerwone *boubou*, w żółte i białe kwiaty, a włosy ma zaplecione w afrykańskie warkoczyki. Towarzyszy jej Roukia, jedna z moich ciotek. Ona z kolei podobna jest do mamy i do mnie. Jej wąskie brwi i łagodne oczy przypominają mi mamę. Tymczasem Roukia nie jest siostrą mamy, lecz siostrą taty. Jestem tak bardzo szczęśliwa, że mogę ich wszystkich poznać, a nie tylko zobaczyć na zdjęciu lub kasecie wideo, że robi mi się ciepło na sercu. Moi kuzyni powtarzają, że pamiętają, jak przyleciałam do kraju, kiedy miałam najpierw dwa, a potem pięć lat. Wspominają, jak wyglądałam i co mówiłam jako mała dziewczynka. Trzymają mnie za rękę, delikatnie głaszczą, przytulają. Jestem tak obolała, że nie mogę ani mówić, ani się ruszać, ale ich obecność dodaje mi otuchy. Przyglądam się im z uwagą, ale jednocześnie zastanawiam się, dlaczego jeszcze nie przyszła mama. Od kiedy zaczął się mój koszmar, wzywam ją w myślach. Tak mi jej brakuje, tak chciałabym się jej wypłakać, opowiedzieć jej o strachu i bólu, o wszystkim, przez co przeszłam...

* * *

Do pokoju wchodzi major Said Alimadi z obsługi portu w Moroni. Natychmiast go rozpoznaję. Mimo że mówienie sprawia mi ból, dziękuję mu za wszystko, co

dla mnie zrobił. Nawet za to, że zmusił mnie do wymiotów. Przyszedł sam, a tak bardzo chciałabym, żeby przyszedł z marynarzem, który mnie uratował. Nawet nie wiem, jak ten mężczyzna się nazywa. Major spędza przy moim łóżku kilkanaście minut, po czym uśmiecha się do mnie szeroko i wychodzi, aby za bardzo mnie nie męczyć.

Po odwiedzinach rodziny do pokoju wchodzi biała kobieta, a za nią doktor Charif i pielęgniarki. Kobieta siada na krześle obok mojego łóżka. Pozostałe osoby stoją. Wszyscy mają poważne twarze. Kobieta wita się ze mną.

– Dzień dobry, Bahiu. Nazywam się Fouche. Jestem psychologiem i pracuję na wyspie Reunion.

Pani Fouche tłumaczy mi, że osoby, które przeżyły jakąś katastrofę – niezależnie od tego, czy był to zamach terrorystyczny, trzęsienie ziemi, tsunami, czy katastrofa lotnicza – powinny odbyć rozmowę z psychologiem. Następnie wyjaśnia, że uratowałam się z katastrofy samolotu i miałam ogromne szczęście, ponieważ wyszłam z tego cało, ale pewnego dnia, za rok, może za dziesięć, a nawet za dwadzieścia lat, mogę się poczuć winna, że tylko ja przeżyłam. Nie rozumiem, o co jej chodzi. Przyglądam się osobom w moim pokoju. Wszyscy wydają się zakłopotani, nikt nie patrzy mi w oczy. Przecież wypadłam z samolotu, to wiem, ale samolot wylądował wczoraj na Komorach. A teraz czekam na mamę, która niedługo przyjdzie i zaopiekuje się mną. Dlaczego ta kobieta opowiada o katastrofie lotniczej? I dlaczego

przypuszcza, że tylko ja przeżyłam? O czym, na miłość boską, ona mówi? Jestem taka zmęczona. I nagle... Powoli zaczyna docierać do mnie straszna prawda. Gardło mam ściśnięte ze strachu. Wreszcie zadaję pytanie, które ledwo przechodzi mi przez usta:

– Gdzie jest mama? Dlaczego jeszcze jej tutaj nie ma?

Pani Fouche przygląda mi się przez kilkanaście długich sekund. Po czym, tak jakby mówiła o pogodzie, dodaje:

– Wiesz, wydaje mi się, że nie udało się odnaleźć twojej matki. Odnaleziono tylko ciebie.

Jeszcze dzisiaj mogę powiedzieć, że te słowa zaboląły mnie bardziej niż rany, które odniosłam w katastrofie. Słowa pani psycholog, informujące mnie, że już nigdy więcej nie zobaczę mamy, sprawiły, że poczułam się naprawdę zdruzgotana. Przez godzinę nie mogłam uwierzyć w tę straszną wiadomość, a potem pogrążyłam się w rozpacz. Dryfując na mojej prowizorycznej tratwie, byłam przekonana, że wypadłam z samolotu. Myślałam, że pozostali pasażerowie szczęśliwie dolecieli na lotnisko. Sądziłam, że mama się martwi moim zniknięciem, i że zawiadomiła już ratowników. Przecież mama nie mogła tak po prostu odejść. Matki są zawsze ze swoimi dziećmi. Za każdym razem, gdy jej potrzebowałam, była przy mnie. Jestem pewna, że pani psycholog się myli i mama zaraz przyjdzie.

Kobieta wciąż coś do mnie mówi, ale nie słucham jej.

Powoli uświadamiam sobie okrutną prawdę: wcale nie wypadłam przez okno z samolotu, to samolot spadł do oceanu, bo to była katastrofa lotnicza... Ale skoro ja przeżyłam, nie wszystko stracone. Jeżeli mnie odnaleziono, na pewno uda się odnaleźć również moją mamę. To tylko kwestia czasu. Być może mama leży w pokoju obok, a pani psycholog nic o tym nie wie.

* * *

Pani Fouche wstaje, żegna się ze mną i wychodzi. Razem z nią wychodzi doktor Charif, ale za kilka minut wraca z kobietą, którą od momentu przyplłynięcia do portu w Moroni widziałam już kilkakrotnie. Kobieta nazywa się Maroussia Daolio i jest urzędniczką w ambasadzie. Dowiaduję się od niej, że niedługo odwiedzi mnie w szpitalu francuski minister.

– Przyleciał z Paryża specjalnym samolotem, żeby się z tobą spotkać. Chciałby jeszcze tej nocy zabrać cię do Francji, ale najpierw musimy uzyskać zgodę twojego taty.

Nie mam już ochoty rozmawiać. Jestem zdruzgotana, pusta w środku, a przede wszystkim przerażona, że znowu muszę wsiąść do samolotu. Ciągle czekam na mamę, wierzę w jej ocalenie. Dlatego powinnam zostać na Komorach. A jeżeli ona gdzieś tu na mnie czeka? Wszyscy wychodzą z pokoju i zostawiają mnie samą. Tak jest lepiej. Potrzebuję teraz samotności, aby zrozumieć, co mi się przydarzyło.

Cudem uratowana

W Corbeil-Essonnes jest późne popołudnie. Tatę przerosła sytuacja. Wszystkie francuskie i światowe stacje telewizyjne mówią o „cudem uratowanej z samolotu Yemenii”, czyli o jego córce. A on nie umie poradzić sobie z dziennikarzami, którzy nie przestają wydzwaniać do domu i na komórkę. Dziennikarze już znają numery telefonów i nasz adres. Szukają newsów. Dziesiątki kamer i fotoreporterzy czekają pod naszym blokiem. Niektórzy nawet dzwonią do drzwi. Tato zastanawia się, co ma im powiedzieć. Sam wie bardzo niewiele, poza tym, że wyciągnięto mnie z wody żywą. Wciąż pytany jest o to samo. Jak jego córce udało się przeżyć upadek samolotu? Jak trafiła na dryfujący fragment kadłuba na tyle duży, że mogła się go uczepić? Jakim cudem nie utonęła, pływając przez dziewięć godzin po oceanie? I jakim cudem została odnaleziona w bezkresie wód? Miała jedną szansę na milion! Tato wie, że to *mektoub* – przeznaczenie. Ale nie rozmawia o tym z nikim, ponieważ zbyt wiele osób zginęło w tej katastrofie i on rozmyśla o ich rodzinach. Jednoczy się z nimi w bólu – Komoryjczycy są silni w obliczu rozpacz. Znowu dzwoni komórka. Tato po raz setny tego dnia odbiera telefon. Jest zmęczony. Pomimo znużenia zachowuje się uprzejmie i z godnością.

– Halo?

– Tak, słucham.

– Pan Bakari?

– Tak, to ja.

– Nazywam się Nlohamed Charif. Jestem lekarzem ze szpitala El-Maarouf w Moroni. Zajmuję się pańską córką, Bahią. Chcielibyśmy ją przewieźć do Paryża.

Tato nie jest w stanie nic powiedzieć. Ze strachu ma ściśnięte gardło. Udaje mu się wydusić zaledwie parę słów.

– Jeżeli Bahia jest w stanie krytycznym, wolałbym, żeby została na Komorach. Przyjadę ją tam pochować.

– Proszę pana, pańska córka przeżyła! Wyjdzie z tego cało, nie musi się pan obawiać, ma niesamowitą wolę przetrwania. Wszystko będzie dobrze!

Tato milczy przez kilka sekund. W głowie mu się kręci. Zanim zacznie się cieszyć, woli się jednak upewnić, że ze mną wszystko w porządku. Zbiera się w sobie.

– Czy jest poważnie ranna?

– Ma złamaną kość miednicy i obojczyk, widoczne uszkodzenie lewego oka i poparzenia na nogach. Ale może podróżować. To naprawdę cud, że przeżyła! Przyleciał po nią z Francji specjalny samolot z ministrem na pokładzie. Chcemy, żeby wróciła do domu najszybciej jak to możliwe.

Tato nie wie, co o tym sądzić. Doktor Charif mówi dalej:

– W Paryżu lekarze będą mogli przebadać ją szczegółowo. Tutaj, na Komorach, nie mamy odpowiedniego sprzętu. I nie jesteśmy w stanie

stwierdzić, czy pana córka odniosła jakieś poważne obrażenia wewnętrzne... Tylko pan może wydać zgodę na jej przelot do Francji. My nic więcej nie możemy dla niej zrobić.

Tato ciągle jeszcze nie może uwierzyć, że żyję. Łzy szczęścia spływają mu po policzkach.

– Panie Bakari, przekazuję teraz słuchawkę ministrowi Alainowi Joyandetowi.

Tato rozmawia z ministrem, który wyjaśnia mu sytuację. Na koniec tato mówi:

– Dziękuję, panie ministrze. Zrozumiałem i oczywiście zgadzam się na przywiezienie córki do domu.

Odkłada słuchawkę i łapie się za głowę. Jest niezmiernie szczęśliwy. Wie, że rząd francuski sprawił mu właśnie najpiękniejszy prezent, jaki można dać ojcu.

Odwiedziny ministra

Pierwszy raz mam okazję zobaczyć ministra. Jest ubrany w elegancki granatowy garnitur, białą koszulę i krawat. Musi mu być gorąco. Podchodzi do mojego łóżka, towarzyszą mu doktor Charif, ambasador Luc Hallade i pułkownik Mauplot. Dwaj ostatni mężczyźni pozostają lekko w tyle. Nie spali od dwóch dni i dopiero wczoraj dowiedzieli się, że jestem Francuzką. Dziękuję im za wszystko, co dla mnie zrobili. Minister przyleciał dziś rano rządowym samolotem. Ambasador i pułkownik przywitani go na lotnisku i zapoznali z przebiegiem akcji ratunkowej. Potem zabrali go na pokład śmigłowca Panther, należącego do fregaty »Nivóse«, i przelecieli nad Wielkim Komorem aż do szpitala polowego zainstalowanego w hotelu Galawa, na północy wyspy.

Minister uśmiecha się do mnie i delikatnie ściska mi dłoń. Przedstawia się, ale nie zwróciłam uwagi, czym się zajmuje, dlatego odpowiadam mu:

– Dzień dobry, panie premierze.

[Alain Joyandet (ur. 15. 01. 1954) od marca 2008 r. do lipca 2010 r. był sekretarzem stanu ds. współpracy i frankofonii, tj. wspólnoty państw francuskojęzycznych, przy ministrze spraw zagranicznych Republiki Francuskiej.]

Na co on się uśmiecha i mówi:

– Ach nie, nie! Jeszcze nie jestem premierem!

Tłumaczy mi, że zabierze mnie do Francji na pokładzie małego samolotu Falcon. I że nie powinnam się niczego obawiać, bo to jest samolot rządowy. Trudno mi

się skupić na tym, co do mnie mówi. Myślami jestem gdzie indziej. Ogarnia mnie strach przed czekającym mnie kolejnym lotem. Myślę tylko o samolocie, do którego wieczorem będę musiała wsiąść, i o mamie. Dochodzi dwudziesta.

* * *

Słońce zachodzi nad Moroni. Pielęgniarki przenoszą mnie na nosze i znów mocno przypinają pasami, żebym się nie zsunęła podczas jazdy. Na korytarzu wszyscy lekarze i personel medyczny przyglądają mi się ze wzruszeniem. Dziękuję im. Na dworze jest przyjemnie chłodno i przepięknie pachnie. Lubię zapach mojej ojczystej ziemi, przypomina mi perfumy mamy. Ziemia paruje ciepłem, ale bryza od oceanu chłodzi powietrze i kołysze liście palm. Nosze są już w karetce, drzwi się zamykają i samochód rusza. Widzę znikające arkady szpitala El-Maarouf. Zapada noc. Jedziemy w kierunku międzynarodowego lotniska Prince-Said-Ibrahim. Leżąc na noszach, nie widzę oceanu, ale czuję go. Jest gdzieś blisko. Nie umiem określić, czy jedziemy na północ, czy na południe: w okolice Nioumadzaha Bambao, wioski moich rodziców.

Karetka się zatrzymuje. Samolot stoi sto metrów przed nami. Przypomina jedną z zabawek Badawyego, taki jest malutki. Wnoszą mnie na pokład i kładą w tylnej części kokpitu, na przygotowanej specjalnie dla mnie

kanapie, przykrytej miękkim materacem, żeby mi było wygodnie. Głowę kładę na dużej, białej poduszce. Z obu stron widzę okienka samolotu... Paraliżuje mnie lęk. W bezruchu wpatruję się w biały sufit, staram się nie patrzeć na boki. Za głową mam zaokrąglony podłokietnik z jasnego drewna, pośrodku znajdują się drzwi z lustrem. Zajmuje się mną Fabrice, pielęgniarz z pogotowia, który, tak jak pani psycholog, przyleciał z Reunionu. Głowę ma ogoloną i nosi małe, okrągłe, metalowe okulary. Pomaga mu przystojny dwudziestoparoletni Metys. Fabrice jest starszy i chyba on jest szefem. Obaj są bardzo delikatni i mili wobec mnie. Podają mi kroplówkę i każą pić przez słomkę słodką wodę, żebym nabrała sił, a zwłaszcza żebym się nie odwodniła. Decydują się też na podanie mi środków uspokajających, żebym się nie denerwowała podczas lotu.

Silniki pracują coraz głośniej. Samolot zaczyna kołować, po czym zatrzymuje się na parę sekund. Silniki wyją pełną mocą. Nagle samolot rusza i nabiera prędkości. Koła wibrują pod kadłubem – pas startowy nie jest wystarczająco równy. Czuję nieprzyjemny ucisk w żołądku – samolot odrywa się od ziemi i wzlatuje w ciemną noc. Wibracje ustają. Jestem przerażona, na szczęście środki uspokajające zaczynają działać. Obecność dwóch pielęgniarzy napawa mnie otuchą i pozwala zająć myśli czymś innym. Obaj cały czas starają się mnie zająć rozmową.

Oprócz ministra i pielęgniarzy lecą z nami również

dziennikarze, którzy na razie nie zadają żadnych pytań, ale uważnie mnie obserwują. Prawie przez cały lot mam zamknięte oczy, żeby uniknąć ich ciekawskich spojrzeń.

Minister odchyła zasłonę oddzielającą tę część kokpitu, gdzie leżę na kanapie, od reszty kabiny i siada przy mnie. Widać, że jest zmęczony. Patrzy na mnie z czułością i uśmiechem na twarzy. Jest szczerze zadowolony, że przeżyłam i może zabrać mnie do Paryża. Radzi mi, żebym starała się usnąć, bo lot będzie długi.

Kiedy ponownie otwieram oczy, Fabrice tłumaczy mi:

– Spałaś niecałą godzinę. Postaraj się jeszcze zasnąć. Nie przylecimy do Paryża przed czwartą.

Jestem głodna. Fabrice i jego kolega przynoszą mi jedzenie i chwilę rozmawiamy. Po kilku kęsach mój żołądek buntuje się. Przez pewien czas nie będę mogła niczego przełknąć, tak bardzo zaszkoziły mi słona woda i paliwo, których się nałykałam podczas tych dziewięciu godzin spędzonych na oceanie.

Minister przychodzi ponownie, ale tym razem w towarzystwie dziennikarzy. Chcą mi zadać kilka pytań. Zgadzam się. Naprzeciwno mnie ustawiają kamerę na statywie. Mówię sobie, że to chyba niemożliwe, żeby odważyli się sfilmować mnie w takim stanie. Cała obolała czuję się wyjątkowo brzydka. Nie chcę być teraz fotografowana. Wahając się, odpowiadam na kilka pytań, ale nie mam ochoty na długie rozmowy. Na szczęście dziennikarze nie nalegają. Potem minister pyta, czy

zgodzę się na zrobienie z nim zdjęcia? Sprawia wrażenie zakłopotanego swoją prośbą. Ten pomysł mnie także wydaje się dziwny. Kto chciałby mieć zdjęcie z ofiarą wypadku? Ale minister zapewnia mnie, że prosi o zdjęcie do prywatnego albumu, tylko dla niego, na pamiątkę. Zbliża swoją twarz do mojej i jeden z dziennikarzy robi nam zdjęcie. Błysk flesza sprawia, że mrużę zdrowe prawe oko, a ponieważ lewe mam opuchnięte, wychodzę na zdjęciu jakbym miała zamknięte oczy.

Kiedy budzę się po raz kolejny, jest już jasno. Niebieskawe światło wpada przez okienka i oświetla kabinę. Fabrice siedzi przy mnie. M/a zaczerwienione oczy od zmęczenia. Jestem pewna, że w nocy nie spał, żeby czuwać nade mną. Informuje mnie, że nasz niewielki samolot już przelatuje nad Francją i za trzydzieści minut będziemy lądować na lotnisku Le Bourget, kilkanaście kilometrów na północ od Paryża.

Próbuję sobie przypomnieć, jaki jest dzień tygodnia. Wydaje mi się, że czwartek... Tak, czwartek 2 lipca. O tej porze, cztery dni temu, tato żegnał się z nami na lotnisku Roissy. Pocałował mnie, następnie mamę, a potem wsiadliśmy do samolotu lecącego do Moroni. Cztery dni później znów jestem we Francji – Sama, ranna i po okropnych przejściach. Moje dawne życie legło w gruzach i nic już nie będzie takie samo jak wcześniej.

Samolot podchodzi do lądowania i wpada w turbulencję. Znów czuję narastające uczucie porażającego strachu, ale Fabrice jest tuż przy mnie. Dodaje mi odwagi

i wyjaśnia, że to normalne zjawisko na skutek mieszania się warstw gorącego powietrza unoszącego się znad ziemi z chłodniejszym powietrzem wyżej. Być może mówi prawdę, ale i tak jestem przerażona... W tym momencie przysięgam sobie, że ostatni raz w życiu lecę samolotem.

Odnajduję tatę

Samolot rządowy ląduje na lotnisku Le Bourget. Jest ładna pogoda. Kiedy maszyna się zatrzymuje, jestem szczęśliwa, że wróciłam do Francji, do domu. Czuję jak ogarnia mnie radość i ulga. Tato wchodzi na pokład rządowego samolotu. Ma na sobie białe spodnie i ładną jasną koszulę w kratę. Z przejęciem dziękuje ministrowi i pielęgniarzom. Następnie przechodzi do tylnej części kokpitu. Delikatnie siada obok mnie i bierze mnie za rękę, uważając na kroplówkę, którą mam wkłutą w przedramię. Ma spokojny wyraz twarzy i łagodne spojrzenie, ale widać, że jest bardzo wzruszony. Wpatruję się w niego uważnie. Zdobywam się nawet na lekki uśmiech. Dziennikarze wykorzystują ten moment prywatności, żeby zrobić nam zdjęcie, ale mnie to już nie przeszkadza. Teraz liczą się tylko: obecność taty, moja dłoń w jego dłoni, jego oczy wpatrzone we mnie. Teraz już nic złego nie może mi się przydarzyć – jestem tego pewna.

* * *

Karetka pogotowia przewozi mnie do szpitala dziecięcego imienia Armanda Trousseau w XII dzielnicy. Trafiam na blok reanimacyjny centrum leczenia poparzeń, które jest jednym z niewielu ośrodków we Francji specjalizujących się w niesieniu pomocy dzieciom.

Pogoda dopisuje. Dostrzegam dziennikarzy, którzy czekają na mnie przed wejściem – to się chyba nigdy nie skończy... Zostaję wniesiona na noszach do szpitala. Lekarz tłumaczy mi, że aby wyleczyć rany pod lewym okiem, konieczna jest operacja szczęki i twarzy. Czekają mnie też operacje złamanej miednicy i obojczyka. Potem będę miała przeszczep skóry, żeby zagoiły się oparzenia na nogach. Już sama lista niezbędnych zabiegów chirurgicznych napawa mnie strachem.

Od przyjazdu do szpitala zostaję poddana szczegółowym badaniom lekarskim. Lekarze chcą mieć pewność, że nie mam innych obrażeń poza tymi, które zostały już rozpoznane. W szpitalu El-Maarouf w Moroni na Komorach nie ma tak nowoczesnego sprzętu medycznego jak w Paryżu. Mogę mieć jakieś niezdiagnozowane obrażenia wewnętrzne i krwotoki zagrażające zdrowiu. Tato dotrzymuje mi towarzystwa tak długo, jak to możliwe, ale wczesnym popołudniem musi pojechać do Wielkiego Meczetu w Paryżu, aby uczestniczyć w uroczystościach religijnych ku czci ofiar katastrofy Airbusa 310-300. Jest mi smutno, kiedy wychodzi i czuję się bardzo samotna. Boję się badań, operacji i przeszczepu. Nie chcę więcej cierpieć. Chcę wrócić do domu, do Corbeil-Essones, do siostry i braci, aby zapomnieć o tym wszystkim...

– Wiesz, Bahiu, muszę już iść – mówi tato. – Na pokładzie feralnego samolotu oprócz ciebie i twojej mamy leciało pięćdziesięciu pięciu Francuzów, większość

pochodzenia komoryjskiego. Niektórzy lecieli do ojczyzny świętować Dzień Niepodległości. A teraz musimy uczcić ich pamięć.

Znam trochę historię Komorów. Niepodległość archipelagu ogłoszono 6 lipca 1975 roku. I choć wielu Komoryjczyków żałuje, że ich kraj przestał być terytorium zależnym od Francji, wszyscy uroczyście obchodzą Dzień Niepodległości. Tato bierze mnie za rękę. Ma poważną minę.

– Bahiu, jesteś jedyną osobą, która przeżyła tę katastrofę. Dlatego moja obecność, obecność ojca jedynej uratowanej pasażerki samolotu należącego do linii lotniczych Yemenia, wiele znaczy dla ludzi z naszej społeczności. Muszę pojechać na uroczystości pożegnalne. Zaraz przyjdzie do ciebie ciotka Claire, a ja wrócę, jak tylko będę mógł.

Ciotka Claire jest siostrą mamy. Będzie spała ze mną w pokoju przez te wszystkie noce, które spędzę w paryskim szpitalu. Cieszę się, że zgodziła się mną opiekować. Boję się leżeć sama w nocy w pustej i obcej szpitalnej izolatce. Obecność ciotki Claire dodaje mi otuchy.

Po wyjściu taty na uroczystości pożegnalne zaczynam rozmyślać o mamie. Jeszcze mam nadzieję, ale czy ktokolwiek jest w stanie przetrwać w wodzie trzy dni i trzy noce bez jedzenia i picia? W głębi duszy wiem, że sama nie przeżyłabym kilku godzin dłużej, a już na pewno nie kolejną noc.

* * *

W Wielkim Meczecie, w V dzielnicy, gromadzi się ponad trzysta osób. To rodziny i przyjaciele ofiar katastrofy, w tym prawie setka Komoryjczyków z Marsylii. Wielu z tych, którym nie udało się wejść do środka, czeka na zewnątrz. Przybyli przedstawiciele francuskiego rządu: przede wszystkim Alain Joyandet, który przywiózł mnie z Morom do Francji. Poza nim obecni są także minister spraw wewnętrznych, minister transportu, mer Paryża, a także rektor meczetu, Dalii Boubakeur. Po osiemnastej trzydzieści na dziedziniec świątyni przyjeżdża prezydent Republiki Francuskiej, Nicolas Sarkozy. Staje wśród krewnych ofiar i z wielkim szacunkiem przysłuchuje się modlitwie za zmarłych. Modlący się mężczyźni mają na głowach białe turbany. Prezydent gorąco ściska dłonie otaczającym go ludzom. Zależy mu, by rodziny zmarłych zrozumiały, że prezydent, w imieniu wszystkich Francuzów, łączy się z nimi w bólu i deklaruje chęć pomocy. Uroczystości kończą się minutą ciszy ku czci ofiar.

Następnie jeden z urzędników oznajmia tacie, że prezydent Republiki Francuskiej chciałby z nim porozmawiać. Tato zostaje zaprowadzony do dużego czarnego prezydenckiego citroena. Od tłumu ludzi oddziela go armia ochroniarzy w garniturach, ze słuchawkami w uszach i w ciemnych okularach. Tylne

drzwi samochodu otwierają się i tato zostaje poproszony, żeby zajął miejsce obok prezydenta. Drzwi się zamykają. Szyby w samochodzie są przyciemnione. Tato widzi, co dzieje się na zewnątrz, ale nikt postronny nie może zobaczyć, kto siedzi w samochodzie. Nicolas Sarkozy rozmawia z tatą przez dobrych kilkanaście minut. Prezydent Francji jest bezpośredni i przyjacielski. Tato od razu poczuł do niego sympatię. Nicolas Sarkozy podkreśla, jak bardzo jest mu przykro z powodu śmierci tylu osób, w tym także mojej mamy. Jest szczęśliwy, że chociaż ja przeżyłam, i bardzo chciałby się ze mną spotkać. Najlepiej teraz, zaraz. Tato się zgadza. Prezydencka limuzyna rusza, otoczona kawalkadą motocykli i samochodów ochrony na sygnale.

Niespodziewany gość

W szpitalu nikt mnie nie uprzedził o wizycie prezydenta... Leżę w łóżku i myślę o mamie. Wspomnienia sprawiają mi ból, to prawdziwe cierpienie. Ponadto – choć to zadziwiające – pierwszy raz od wypadku odczuwam tak silny ból fizyczny. Jest wprost nie do zniesienia, mam ochotę płakać.

Nagle jakieś poruszenie przyciąga moją uwagę. Podnoszę głowę. Po korytarzu, gdzie jak dotąd było spokojnie, biegają w pośpiechu pielęgniarki. Słyszę szuranie butów. Zbliża się grupa ludzi, którzy dość głośno rozmawiają. Bez wątpienia dzieje się coś nadzwyczajnego, co wywołuje u niektórych dreszcz emocji. Rozmowy cichną przed moją salą. Drzwi się otwierają. Wchodzi tato i... Nicolas Sarkozy. Za nimi wchodzi ciotka, lekarze i Alain Joyandet. Wszyscy, oprócz prezydenta i ministra, mają na sobie białe fartuchy. Nicolas Sarkozy jest w granatowym, niemal czarnym garniturze, białej koszuli i eleganckim ciemnym krawacie; podobnie ubrany jest minister Alain Joyandet. Przychodzi mi do głowy, że to musi być rodzaj dyplomatycznego uniformu; taki mundurek polityków.

Pan prezydent stoi przy moim łóżku. Nie jest zbyt wysoki, mimo że sprawia takie wrażenie na zdjęciach lub kiedy występuje w telewizji. Wysławia się elegancko, ale jednocześnie wydaje się trochę nerwowy, jakby się

spieszył. Mówi, że cieszy się, widząc mnie, i że jego żona również chętnie by mnie odwiedziła. Do dzisiaj dokładnie pamiętam jego słowa.

– Wiesz, Carla była bardzo poruszona tym, co ci się przydarzyło, i naprawdę chciałaby cię poznać...

„Skoro tak chce mnie zobaczyć, dlaczego jej tu nie ma?” – pomyślałam.

Jednak nic nie mówię. Pan prezydent tłumaczy mi, że zobaczę ją w Pałacu Elizejskim.

– Przyjedziesz do pałacu z całą swoją rodziną.

Tato jest bardzo dumny. Uśmiecha się i patrzy na mnie z czułością.

Potem prezydent pyta, jak się czuję i czy zgadzam się na wspólne zdjęcie. Niestety na tej wspólnej fotografii wcale mnie nie widać, ponieważ jeden z lekarzy zasłonił mi twarz ręką. Wizyta prezydenta trwa około dwudziestu minut. Po czym Nicolas Sarkozy uśmiecha się, ostatni raz podaje mi rękę i wychodzi z pokoju. Drzwi się zamykają, a na korytarzu jeszcze długo słychać szuranie butów i głośne rozmowy. Wreszcie znowu zapada cisza. A ja wprost nie mogę się otrząsnąć ze zdziwienia. Nawet jeżeli, co oczywiste, jestem wzruszona i dumna z tych odwiedzin, to jestem też zaskoczona, że spotkanie z prezydentem Republiki Francuskiej Nicolasem Sarkozym nie wywarło na mnie większego wrażenia. Nawet odwiedziny głowy państwa nie powstrzymały mnie od myślenia o mamie...

Dzisiaj Badian, Badrou i Badawy przychodzą mnie

odwiedzić w szpitalu. Jestem zadowolona. To nasze pierwsze spotkanie od mojego powrotu do Francji. Tak dużo o nich ostatnio myślałam. I dryfując na środku oceanu, i w szpitalu El-Maarouf, i potem w rządowym samolocie. Teraz też o nich myślę i wiem, że od chwili wypadku ponoszę za nich ogromną odpowiedzialność. Muszę zastąpić im mamę. Badian i Badrou całują mnie. Badrou od razu nie może się powstrzymać od przedrzeźniania mnie. Również Badawy jest zadowolony, że mnie widzi. Biega po pokoju, pokrzykując z radości. Za każdym razem, gdy jest blisko, łapię go za rękę, przytulam i obsypuję pocałunkami. Zapach jego skóry uspokaja mnie. Badawy śmieje się ze szczęścia. Żeby zrobić mi przyjemność, włożył koszulkę ze Spider-Manem. Z Badian i Badrou po prostu rozmawiamy – o wszystkim i o niczym – jak gdyby nigdy nic. Nie mówimy ani o wypadku, ani o mamie. To zbyt bolesne tematy i nadal cierpimy z powodu jej nieobecności.

Nie rozmawiamy też o czekających mnie operacjach. Badian i Badrou opowiadają mi za to o koleżankach, o tym, co się wydarzyło w domu, co robią podczas wakacji i o domu ciotki w Combs-la-Ville, u której chwilowo mieszkają.

Tato przychodzi do szpitala tak często, jak to tylko możliwe, chociaż jest bardzo zajęty pracą w stowarzyszeniu ofiar wypadku, któremu przewodniczy. Jest przecież ojcem jedynej uratowanej osoby i stanowi dla krewnych ofiar symbol nadziei. Regularnie

przychodzą do mnie w odwiedziny trzy ciotki, wuj, a także dalsi kuzyni i kuzynki. Wszyscy są uśmiechnięci i czują się swobodnie. Przychodzą zobaczyć się z siostrzenicą, bratanicą, jednym słowem: z krewną, a nie z „cudem uratowaną”, jak nazywają mnie w mediach. Jestem zadowolona, że nikt przy mnie nie płacze. Goście przewijają się bez przerwy, jedni wychodzą, drudzy przychodzą. I bardzo dobrze, bo jestem stale czymś zaabsorbowana i nie mam czasu na rozpamiętywanie tego, co się wydarzyło. Wszyscy mi coś przynoszą: drobne prezenty, owoce, słodycze. Na oddziale, na którym leżę, chorzy mają prawo tylko do dwóch wizyt dziennie. Lekarze tłumaczą mi, że powinnam dużo wypoczywać i unikać przemęczenia. Zapominają jednak, że najbardziej męczy właśnie smutek i samotność. Ale ja nie chcę być sama – wypoczęta, lecz smutna. Chcę znowu poczuć, że żyję w dużej rodzinie. Na szczęście moja rodzina nie przejmuje się szpitalnymi przepisami i ciągle ktoś siedzi obok mojego łóżka. Jestem z tego zadowolona, nawet jeśli niekiedy wieczorem czuję się bardzo zmęczona.

Za każdym razem, gdy zostaję sama, myślę głównie o mamie. Dowiaduję się z telewizji, że 8 lipca odnaleziono szczątki ciał w okolicy wyspy Mafia, u wybrzeży Tanzanii, trzysta osiemdziesiąt kilometrów na północny zachód od Moroni. Prądy morskie i wysokie fale przenosiły ciała na odległość sześćdziesięciu kilometrów dziennie. Są to pierwsze odnalezione zwłoki ofiar katastrofy. Kapitan fregaty »Nivóse«, na podstawie siły

prądów morskich oraz prędkości i kierunku wiatru, obliczył siłę dryfu i określił, gdzie należy szukać szczątków samolotu, po czym popłynął w to miejsce. W połowie drogi między Moroni a wybrzeżem Tanzanii udało się wyłowić dryfujące ciała i resztki Airbusa 310-300. Francuskie i tanzańskie ekipy ratownicze zaprzestały poszukiwań ciał w połowie lipca. Jedynie amerykański robot podwodny, będący w stanie pracować na głębokości tysiąca metrów, który znajduje się na pokładzie statku »Ares«, może jeszcze odnaleźć ciała ofiar uwięzione w kokpicie samolotu na dnie oceanu. Modłę się o odnalezienie ciała mamy, żebyśmy mogli wyprawić jej pogrzeb. Gdy mama spocznie w spokoju, tato, Badian, Badrou, Badawy i ja będziemy mogli rozpocząć nowe życie.

* * *

Już od dziesięciu dni leżę unieruchomiona w łóżku. Dzisiaj odwiedzi mnie moja najlepsza przyjaciółka, Elodie, ze swoją mamą. To jedyna z moich przyjaciółek, która przyszła do szpitala. Z niecierpliwością oczekuję jej przyjścia. Drzwi się otwierają i widzę Elodie, jak zwykle w dużych okularach. Wita się ze mną i promiennie się uśmiecha. Betty, jej mama, która była najlepszą przyjaciółką mojej mamy, elegancko się dziś ubrała. Chce w ten sposób zrobić mi przyjemność i przede wszystkim oddać hołd mamie. Elodie ma dla mnie prezent:

szaro-białą piżamę, którą natychmiast postanawiam zachować do końca życia, nawet jeśli nie będzie się już nadawała do noszenia. Rozmawiamy jak przed wypadkiem – tak jak mogą rozmawiać tylko dwie najlepsze przyjaciółki. Mówimy o koncercie zespołu Jonas Brothers w listopadzie w Paryżu i o tym, że nie mamy za co kupić biletów. Betty przysłuchuje się z uśmiechem na twarzy.

Elodie wypytuje mnie o moje obrażenia i jest ciekawa, czy już próbowałam chodzić.

– Jeszcze nie, odkąd przyjechałam, to tylko leżę. Mam nadzieję, że jak wstanę, to od razu nie upadnę. Ale na razie z powodu złamania kości miednicy nie będę próbować.

Czas szybko mija i przychodzi chwila, kiedy Elodie i Betty muszą wyjść. Nie mogą zostać nawet kwadrans dłużej – z powodu przeklętych przepisów i zaleceń lekarzy. Złości mnie to.

* * *

Ale pytanie Elodie intryguje mnie. Chciałabym mieć pewność, że jeszcze kiedykolwiek będę chodzić. Na kilka dni przed wyjściem ze szpitala nie wytrzymuję. Wstaję i decyduję się na samodzielne przejście do łazienki. Zawsze w takiej sytuacji wołałam pielęgniarkę, ale dzisiaj chcę pójść bez czyjejkolwiek pomocy. Podnoszę się z łóżka. Kolana pracują. Posuwam się krok po kroku, unikając

zbyt gwałtownych ruchów. Nasłuchuję, czy nie zbliża się pielęgniarka lub lekarz. Boję się, że jak mnie zobaczą stojącą w pokoju, zabronią mi prób chodzenia, a ja przejmuję się zakazami, tak jak mój ojciec. Ale tak bardzo mam dość tego wołania o pomoc za każdym razem, gdy chcę pójść do toalety. Nasłuchuję – na korytarzu panuje zupełna cisza. Mogę iść. Za chwilę otwieram drzwi do łazienki. Nareszcie czuję się swobodnie. W sytuacjach intymnych lepiej radzić sobie samemu. Dzień po dniu będę dreptała powoli do toalety, uważając tylko, żeby nikt mnie nie zobaczył.

Dwa dni później pielęgniarka zachęca mnie do samodzielnego wstania z łóżka. Będziemy ćwiczyły chodzenie.

Najpierw każe mi usiąść na wózku. Wypełniam jej polecenie bez słowa. Kiedy próbuje mnie podnieść z wózka, żebym stanęła na nogi, od razu zdaje sobie sprawę, że nie potrzebuję nawet balkonika. Śmieszy mnie jej zdziwiona mina, ale zachowuję powagę. Wyznaję jej, że od kilku dni sama chodzę do łazienki. Pielęgniarka milczy, ale widzę błysk zadowolenia w jej oczach.

Ćwiczę chodzenie codziennie i poruszam się coraz sprawniej. Nie mogę się doczekać, kiedy wyjdę ze szpitala. Jedzenie smakuje tu trochę jak w szkolnej stołówce, a ja im lepiej się czuję, tym bardziej chce mi się jeść. A może na odwrót?

* * *

Lekarze nastavili mi już złamane kości miednicy i obojczyka. Zoperowano mi też rany pod lewym okiem, przeszczepiono skórę na stopach i kolanach, gdzie miałam najgorsze oparzenia. Moja lekarz prowadząca, Isabelle Constant, chwali mnie za dzielność i niebywałą „chęć przetrwania”. Jej słowa sprawiają mi dużą przyjemność. Według niej, dzięki tym cechom na pewno szybko wyzdrowieję. Moje kości zrastają się prawidłowo, ale żaden chirurg nigdy nie zszyje mojego rozdartego serca.

Wyzwolenie

W końcu wychodzę. Nadszedł dzień wyzwolenia! Moje własne święto niepodległości! Wakacje w szpitalu imienia Armanda Trousseau trwały trzy tygodnie – stanowczo za długo. Na całe życie zapamiętam dzień wyjścia ze szpitala. Był czwartek 27 lipca 2009 roku. Ubieram się. Dżinsy i biała bluza z długimi rękawami mają zakryć opatrunki. Przed szpitalem na moje wyjście czekają dziennikarze i fotoreporterzy z kamerami, mikrofonami, aparatami fotograficznymi. Mam wrażenie, jakby nie ruszyli się stąd od mojego przyjazdu. Tato denerwuje się, kiedy ich wszystkich widzi, i postanawia odwrócić uwagę tłumu, żebym mogła spokojnie wyjść. Zajeżdża demonstracyjnie pod szpital samochodem i daje wszystkim czekającym do zrozumienia, że przyjechał po mnie. Jednak za kilka minut wychodzi z budynku sam. Dziennikarze są przekonani, że zatrzymano mnie jeszcze na kilka dni w szpitalu. W tym samym czasie ja wychodzę tylnymi drzwiami – z ciotką Claire i jej mężem.

Żeby uniknąć nagabywania ze strony dziennikarzy, prosto ze szpitala jadę do ciotki – do Cachan, niedaleko Paryża.

Spędzę u niej jakiś czas, zwłaszcza że za tydzień tato musi lecieć na Komory. Manuel Vails, burmistrz miasteczka Evry, gdzie powstało duże stowarzyszenie rodzin ofiar wypadku, ufundował mi bilet lotniczy.

* * *

U ciotki w Cachan czuję się o wiele lepiej niż w szpitalu. W towarzystwie kuzynów i kuzynek szybko wracam do zdrowia i równowagi psychicznej. Ciotka ma czwórkę dzieci: Halima ma dziewiętnaście lat, Mutaru szesnaście, Moyad i Mujajab są bliźniakami i mają po dwanaście lat. Wszyscy są dla mnie bardzo mili. Codziennie z chęcią wstaję z łóżka, bo wiem, że zobaczę ich uśmiechnięte buzie. Ciotka Claire i jej mąż urządzili dla mnie specjalny kącik, gdzie mogę się wyciszyć i побыć zupełnie sama, jeśli tylko mam na to ochotę. Badian, Baduro i Badawy często odwiedzają mnie w Cachan, dzięki czemu lepiej znoszę trudy rekonwalescencji.

* * *

W sierpniu zaczynam nosić specjalne czarne podkolanówki uciskowe, które wspomagają zabliznianie się przeszczepów skóry na nogach. Nie są eleganckie, ale chodzę w nich bez sprzeciwu. Jeżdżę w nich na konsultacje do lekarza w Paryżu. Wozi mnie wuj. Jestem zadowolona, że mogę się wyrwać z domu. Te wyjazdy traktuję jak wycieczki. Czuję się wtedy, jakbym była na wakacjach.

Podczas kolejnej wizyty lekarz dopytuje się, czy

przyzwyczaiłam się do podkolanówek. Odpowiadam, zgodnie z prawdą, że są chwile, gdy tak bardzo swędzi mnie skóra, że mam ochotę natychmiast je ściągnąć.

– Nie, nie możesz tego zrobić! Dzięki nim przeszczep skóry zabliznia się o wiele szybciej. Musisz je nosić przez cały czas, w dzień i w nocy. Będziemy je zmieniać co trzy miesiące. A za rok, jeżeli wszystko dobrze pójdzie, uwolnisz się od nich na zawsze. Ale pod warunkiem, że skóra się zagoi.

Lekarz powoli zdejmuje mi skarpetki, a potem opatrunek. Pomimo upalnego dnia oblewam się zimnym potem. Czuję straszny ból, jak gdyby ktoś zdierał mi skórę na nogach i kolanach metalową tarką.

– Będzie trochę bolało. Przynajmniej nie masz łaskotek, prawda?

– Nie, nie mam.

Lekarz naciska palcem na przeszczepioną skórę, żeby sprawdzić, jak przylega i czy nie wdało się zakażenie albo martwica tkanki. Znowu ból przeszywa moje ciało jak ostrze sztyletu. Mam ochotę krzyczeć, ale nie pozwala mi duma. Zagryzam wargi aż do krwi. Ból jest tak silny, że jestem na granicy omdlenia. Wbijam paznokcie w leżankę, żeby utrzymać równowagę. Wreszcie lekarz przestaje dotykać moich ran.

– Na dzisiaj koniec. Wszystko w porządku. Rany dobrze się goją.

Potem nakłada nowy opatrunek na przeszczep i podciąga uciskowe podkolanówki.

– Możesz wstać. Widzimy się za trzy dni. Tylko pamiętaj, noś te podkolanówki!

Wychodzę, cała się trzęsąc. Mam wrażenie, że idę boso po ścieżce wysypanej pinezkami. W drodze powrotnej do Cachan milczę w samochodzie, przerażona, że za trzy dni znowu czekają mnie męczarnie. I tak przez cały sierpień. Jestem zrozpaczona.

* * *

Na szczęście mój powrót do normalności to nie tylko cierpienia. Cachan staje się dla mnie szczęśliwym schronieniem, uroczym miejscem. Dziś po południu idziemy do kina na *Harry ego Pottera i Księcia Półkrwi*, najnowszy film z serii o czarodziejach. Ubieram się starannie na tę okazję, wkładam moje najładniejsze niebieskie dżinsy, czerwoną bluzę i tenisówki firmy Converse, które mama kupiła mi na kilka dni przed wyjazdem w naszą ostatnią wspólną podróż. Pierwszy raz od wypadku czuję się w miarę normalnie. Wtapiam się w tłum. Jestem taką samą młodą dziewczyną, jak wszystkie inne młode dziewczyny na ulicy.

* * *

A potem przychodzi wrzesień i początek roku szkolnego, na który czekałam z niecierpliwością. Chciałam znów zobaczyć koleżanki i ulubionych

nauczycieli. Kiedy dryfowałam na oceanie i cierpiałam w szpitalu, dużo myślałam o mojej szkole Louise-Michel i o moich szkolnych znajomych.

Powrót do codzienności napawa mnie otuchą, zwłaszcza że zdałam do czwartej klasy i ponadto dostałam się do klasy europejskiej, ze zwiększoną liczbą godzin języka angielskiego. To klasa dla najlepszych uczniów.

Ciągle chce mi się spać. Wypoczywam, kiedy tylko jest to możliwe. Zdarza mi się zasnąć przy stole w salonie, podczas gdy reszta rodziny ogląda telewizję. Lekarze mówią, że to normalne, że potrzebuję bardzo dużo snu, żeby wygoiły się rany, zwłaszcza te najgłębsze i najpoważniejsze – rany serca.

Codziennie na przerwach spotykam się z Elodie. Poza szkołą widzimy się już rzadziej, z powodu moich dodatkowych zajęć, ale wciąż opowiadamy sobie o naszych dziewczęcych sprawach. Pozostali znajomi nie zadają mi żadnych pytań dotyczących tego, co się wydarzyło. Są dyskretni i mili. Podoba mi się to. Jestem Bahią Bakari, uczennicą college'u, tak jak oni, i nikim więcej.

* * *

Coraz częściej zastanawiam się nad tym, kim chciałabym być w przyszłości. Jako dziecko powiedziałam mamie, że chciałabym być lekarką, żeby ratować ludziom życie. Mama odpowiedziała mi, że kiedy

była mała, marzyła o tym samym. Wszystkie moje przejścia – na oceanie i w szpitalu – nie odwiodły mnie od tego pomysłu, wręcz przeciwnie. Wciąż chcę zostać lekarką. Chcę nieść ludziom pomoc. Mam przed sobą całe życie i mogę tego dokonać, ponieważ dzisiaj jeszcze bardziej mi na tym zależy.

* * *

Właśnie skończyłam czternaście lat. Urodziłam się w dniu chrześcijańskiego święta Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Czuję, że moje życie wraca do normalności. Nie jestem już dzieckiem. Bolesne i ciężkie doświadczenia sprawiły, że dorosłam, przemieniłam się z małej dziewczynki w młodą dziewczynę. Narodziłam się na nowo.

Nie istnieję już. Już pięć miesięcy od katastrofy. Minęło pięć miesięcy, od kiedy zginęły sto pięćdziesiąt dwie osoby, ale odnaleziono tylko siedemdziesiąt pięć ciał, z których zidentyfikowano zaledwie dwadzieścia. Nie było wśród nich ciała mamy.

Nie istnieję

Minęło pięć miesięcy od katastrofy. Minęło pięć miesięcy, od kiedy zginęły sto pięćdziesiąt dwie osoby, ale odnaleziono tylko 75 ciał, z których zidentyfikowano tylko dwadzieścia. Nie było wśród nich ciała mamy.

* * *

Minęło pięć miesięcy, od kiedy po raz pierwszy usłyszałam idiotyczne plotki na mój temat: że nie weszłam na pokład tego samolotu, że nie było mnie na liście pasażerów, że zamiast mnie wsiadł ktoś inny. Słyszałam też, że zostałam wyrzucona za burtę ze statku przewożącego nielegalnych emigrantów pomiędzy Ajouan a Majottą, bo załoga statku odkryła, że jestem Francuzką. I to ponoć właśnie dlatego znalazłam się na kursie jednostki »Nr 071 Anj«. Niektórzy sugerują też, że być może samolot został omyłkowo zestrzelony przez ćwiczących francuskich komandosów, kiedy podchodził do lądowania na lotnisku w Moroni. Dowiedziałam się również – to już zupełnie nieprawdopodobne – że u wybrzeży Wielkiego Komoru znaleziono szczątki kaszalota i zapakowano je do czarnych worków, żeby udawały ludzkie zwłoki.

Zdarzało mi się także często czytać i słyszeć w mediach, że dryfowałam przez dwanaście, a według

niektórych nawet przez czternaście godzin. Mnie wystarczy dziewięć godzin. Te wszystkie bzdurne plotki nie robią na mnie żadnego wrażenia. Ważne, że żyję!

Myślę czasem o tej kuzynce, która nie wsiadła w Marsylii i nie poleciała z nami najpierw do Sany, a potem do Moroni. Dzięki temu ocalała.

Pułkownik Mauplot, który brał udział w akcji ratunkowej, mówi, że widział ludzi, którzy spadli z roweru i byli bardziej poszkodowani ode mnie. Według niego nie istnieją inne możliwe wytłumaczenia tego cudu jak tylko przeznaczenie. *Mektoub*. Może to i cud, ale ja nie chcę wierzyć w cuda, bo to zbyt przerażające. Pułkownik mówi również, że tej nocy siedziałam w fotelu, który był dla mnie jak szczęśliwy los, jak wygrywający numer. I to wszystko, cała reszta nie ma jakiegokolwiek znaczenia. Minęło już pięć miesięcy.

* * *

W domu cała nasza piątka ze wszystkich sił stara się zapełnić pustkę po mamie. Jej nieobecność zjednoczyła nas jak nic przedtem, choć nigdy o niej nie rozmawiamy. Chcemy udowodnić, że ją kochamy, prowadząc normalne życie. Ona była kimś więcej niż osobą, wokół której kręciło się życie w naszym domu, była sercem naszej rodziny. Sercem, które przestało dla nas bić. My jednoczymy nasze serca, żeby wspólnie biły dla niej.

Siedząc na łóżku, przeglądam album ze zdjęciami

rodzinnymi. Zaczynam od ślubu rodziców. Na wszystkich zdjęciach mama jest piękna, szczupła i elegancka. Wygląda jak księżniczka. Widać, jak bardzo jest zakochana w ojcu. Na zdjęciach stoją obok białego samochodu; z pewnością tato miał wtedy taki samochód. Mama ubrana jest w szerokie, brązowe spodnie w cienkie białe paseczki i niebiesko-białą bluzę. Związane z tyłu włosy uwydatniają elegancję rysów twarzy. Mama trzyma czarną torbę. Tato siedzi na masce samochodu: w brązowych mokasynach, dżinsach i białej koszuli. Na nadgarstku widać złoty zegarek. Być może pokazuje go dlatego, że tato jest bardzo punktualny.

Drugie zdjęcie rodziców zostało zrobione w malutkiej uliczce. Tato znowu siedzi na masce samochodu. Ma na sobie biały T-shirt i ciemne spodnie. Na ręku widać ten sam zegarek. Mama stoi obok niego, lewą rękę położyła na nodze taty, wyraźnie chwali się pierścionkiem na palcu. Włosy ma zebrane do tyłu. Kiedy oglądam te zdjęcia, na których widać, jak rodzice się kochali, serce bije mi mocniej, bo przecież jestem owocem tej miłości. Najpiękniejsze zdjęcie mamy i taty zostało zrobione w naszej sypialni. Widać nasze łóżka, szafę i pastelowofioletową tapetę z nadrukiem altanki. Rodzice ubrani są jakby szli na ślub. Mama ma na sobie granatowy kostium i białą bluzkę, a tato szary garnitur, krawat i chusteczkę w butonierce. Wyglądają jak para aktorów. To dwójka aktorów mojego życia. Naszego życia: mojego, Badian, Badrou i Badawyego.

Dalej przeglądam album. Mama w szpitalu w Evry: w ciemnoniebieskiej koszuli, w pokoju o beżowych ścianach. Przygląda się z czułością dziecku, które tato trzyma na rękach. Uśmiecha się do taty, a on z okazji moich narodzin włożył najładniejszą niebieską koszulę. Mama uśmiecha się do nowej istotki. Do mnie. A potem ja, jak miałam pięć miesięcy i byłam pucułowatym bobasem. Zdjęcie zrobiono na skwerze w Corbeil. Mama siedzi na ławce i trzyma mnie na kolanach. Za nią widać uschnięte drzewo. Kolejne: znowu ja w jej ramionach. I następne: w dziecięcym foteliku w niebiesko-białe paski. Z ogromnym pluszowym lwem. Tego samego dnia, tyle że bez lwa. A potem moja pierwsza wiosna: na rozległym trawniku, ubrana w malutkie czarne lakierki, białe rajstopki i biały kaftanik w duże, różnokolorowe kwiaty. Mama wygląda wspaniale w białej marynarce i szerokiej, beżowej spódnicy. Przygląda mi się z czułością. Siedzi na trawie.

Na następnych zdjęciach uczę się stać, potem chodzić. W ładnej granatowej sukience siedzę na trójkołowym żółto-zielonym rowerku. Mama przytuliła swój policzek do mojego. Jestem dumna.

Przed zamknięciem albumu po raz ostatni przyglądam się zdjęciu, które najbardziej mnie wzrusza. Zostało zrobione przez tatę w naszym salonie, kiedy miałam zaledwie kilka dni. Mama siedzi na krześle na tle okna z zamkniętymi okiennicami. Jest noc. Mam zmierzwione włosy i rozchylone powieki. Mama bardzo mocno tuli

mnie w ramionach, jakby się bała, że mnie straci. Ma zatroskane spojrzenie. Czego tak bardzo się bała tamtej nocy, tuż po moich narodzinach? Czy bała się rozłąki? Czy już wtedy myślała o dniu, kiedy jej nie będzie przy mnie? Zamykam album, ale obraz mamy pozostaje przed moimi oczami i w sercu.

Dziś niedziela. Na dworze jest szaro. Rano, pierwszy raz od katastrofy, Badawy wspomina mamę. Wczoraj młodszy brat taty przysłał bukiet kwiatów ku czci mamy. Po przebudzeniu Badawy przygląda się bukietowi. Nagle robi poważną minę. Delikatnie bierze kwiaty w swoje małe dłonie i zaczyna biegać z nimi po mieszkaniu.

– Kwiaty nie są dla taty, nie dla Bahii, nie dla Badian, nie dla Badrou, nie dla Badawyego, kwiaty są dla mamy!

Powtarza te słowa kilkanaście razy. Dumnie nosi swoją czerwono-czarną koszulkę ze Spider-Manem. Co się dzieje w głowie dwuletniego chłopczyka? Tato podchodzi do niego.

– Tak, Badawy, masz rację, kwiaty są dla mamy.

Wyciąga dłoń, żeby delikatnie pogłodzić go po włosach, ale Badawy cofa się i chowa bukiet za plecami. Zaczyna jeszcze głośniej krzyczeć i marszczy ze złości czoło.

– Nie, nie dotykaj tato! To dla mamy! To dla mamy! To dla mamy!

Łapie go atak kaszlu. Badawy choruje na astmę od początku lata. Teraz upada na podłogę i wymiotuje. Ale upadając, nie wypuścił z rąk bukietu kwiatów.

* * *

Tato chce wykorzystać niedzielę na zrobienie zakupów i spotkanie z członkami stowarzyszenia ofiar katastrofy, którzy zbierają się w Saint-Denis. Wkłada bluzę i adidasy. Kieruje się do drzwi. Badawy widzi, jak tato zbiera się do wyjścia. Biegnie do przedpokoju, chwyta swoje buciki i staje przed tatą.

– Zajmij się nim, Bahiu. Nie mogę go ze sobą zabrać.

Badawy protestuje. Płacze, krzyczy i czepia się spodni taty. Biorę go na ręce i idę w głąb mieszkania. Jest strasznie rozzalony, po policzkach spływają mu łzy. Tato bezgłośnie zamyka za sobą drzwi. Siadam na kanapie i bardzo mocno tulę w ramionach mojego najmłodszego brata. Badian stoi w drzwiach i przygląda się, jak próbuję uspokoić Badawy'ego. Uśmiecha się do mnie. Dołącza do nas Badrou. Dzisiaj jego oczy się me śmieją. Patrzy na mnie z czułością. Badawy przytula się i uspokaja. Wreszcie przestaje szlochać. Wszyscy czworo pozostajemy w bezruchu jakby zatrzymał się czas.

* * *

Dużo ostatnio rozmyślam. Wiem, że rozpoczynamy nowe życie, że nic już nie będzie takie samo jak przed 30 czerwca. Mieszkanie zaczyna robić się za ciasne dla czwórki dorastających dzieci. Niedługo będziemy się

przeprowadzać do pięciopokojowego lokalu bliżej centrum miasta. Przez okno mojego pokoju widać już tylko las dźwigów budowlanych i robotników, którzy na miejscu wyburzonych starych domów budują nową dzielnicę. Naprzeciwko naszego małego bloku, po drugiej stronie ulicy, zaplanowano osiedle z parkiem. Na wielkim banerze, zawieszonym na płocie otaczającym plac budowy, widać ładne domy, drzewa, trawniki i napis „Ogrody Belwederu”. Można tylko pomarzyć – domy staną zaledwie po drugiej stronie ulicy, ale wydaje się, jakby znajdowały się na przeciwległym krańcu świata. Przejście na drugą stronę ulicy jest dla mnie trudniejsze niż podróż na Komory.

Myślę o tacie i trochę się martwię. Widać, że jest wykończony codziennym wstawaniem o trzeciej trzydzieści, żeby iść do pracy. O czwartej przychodzi kobieta, która się nami zajmuje, ale za kilka tygodni, pod koniec października, nie będzie już mogła nam pomagać. Tato wraca do domu w południe. Wiem, że się zastanawia, czy nie powinien zmienić pracy. Chciałby zostać ochroniarzem w budynku nieopodal naszego nowego mieszkania. Mówi, że wtedy miałby więcej czasu dla nas. Tato zaprosił ciotkę Roukię do Francji, żeby pomogła mu zająć się nami. To jest ta siostra taty, która tak bardzo przypomina mamę, i która odwiedzała mnie w szpitalu na Komorach. Ciotka zgodziła się, ale załatwienie formalności trochę potrwa i do tego czasu musimy dać sobie radę sami.

Dziś jest niedziela. Czuję się zmęczona i sporo czasu spędziłam, leżąc na kanapie. Badian z Badrou siedzą obok w pokoju. Bawią się, nie robiąc hałasu, wiedzą, że chcę wypocząć. Badawy zajada się żelkami w salonie. Dzisiaj rano tato złamał klucz do piwnicy. Coraz więcej ostatnio tych zgubionych lub złamanych kluczy – to przepełnione wspomnieniami mieszkanie daje nam do zrozumienia, że czas już się wyprowadzić, dla własnego dobra. Niedługo rozpoczniemy nowe życie w nowym miejscu.

* * *

Nigdy się nie dowiem, co tak naprawdę stało się pod czas tego feralnego lotu 626 Airbusa 310-300. Nigdy się nie dowiem, co się stało z mamą. I nie dowiem się, jakie piętno odcisnęła ta katastrofa na tacie, Badian, Badrou i Badawym. Tego nie chcę wiedzieć. Boję się, że nie udźwignęłabym tej prawdy. Dlatego staram się nie myśleć o tym, co było, tylko patrzę przed siebie. Droga, którą widzę, wydaje mi się jasna i pewna.

Głos, którego nigdy nie zapomnę

Dzisiaj w nocy tato i Omar, dziennikarz, którego poprosiłam o pomoc przy pisaniu tej książki, wracają z Komorów. Spędzili tam dziesięć dni i wzięli udział w uroczystościach żałobnych mamy. Na miejscu spotkali wszystkich ludzi, którzy mi pomogli: ambasadora Luka Halladego, pułkownika Mauplot i wielu innych.

W Moroni, w małej restauracji, jedli obiad z Libouną Selemanim Matrafim. Razem z nimi był doktor Tazir, jeszcze jeden lekarz, który również się mną opiekował.

Cała czwórka siedzi na ładnym, drewnianym tarasie nad brzegiem morza. Libouna Selemani Matrafi zamawia *madabę*. Nie wie, że to było ulubione danie mamy, a zarazem ostatnie, jakie przyrządziła w domu w przeddzień naszego wyjazdu. Tato podarował Libounie garnitur, który kupił w Paryżu. Libouna dziękuje mu i opowiada, jaki był wzruszony, gdy kilka tygodni temu przyleciał na Komory premier François Fillon [François Fillon (ur. 1954) – wieloletni francuski parlamentarzysta minister w kilku rządach, od 17 maja 2007 r. premier Francji.] i odznaczył go medalem za odwagę. Jego – zwykłego rybaka.

Libouna wręcza tacie kopertę. W środku znajduje się zdjęcie jego i jego żony oraz list. List do mnie. Napisała go żona Libouny pod jego dyktando. Pismo jest ładne, kaligraficzne. Tato jest bardzo wzruszony tym, co przeczytał. Łzy napływają mu do oczu. Pod koniec obiadu Omar, tak jak obiecał, pokazuje Libounie moje zdjęcia z

tatą, siostrą i braćmi zrobione w Corbeil-Essonnes na tydzień przed wyjazdem na Komory. Libouna również ma łzy w oczach. Delikatnie dotyka palcem mojej twarzy na zdjęciu.

– To ona, Bahia, dobrze ją poznaję, mimo że jej twarz jest dziś spokojniejsza...

Libouna łapie Omara za rękę i mówi z powagą.

– Proszę nagrać kasetę ode mnie dla Bahii. Nagraj wiadomość dla niej i przekaz, kiedy zobaczysz się z nią we Francji.

Omar wkłada kasetę do dyktafonu i naciska klawisz nagrywania. Tato i doktor Tazir przestają rozmawiać i wstrzymują oddech. Zapada cisza. Libouna Selemani Matrafi patrzy w dal, tam gdzie niebo styka się z morzem. Starannie dobiera słowa. Jego głos przepełniają emocje.

Kiedy dowiedziałam się, że tato chce lecieć na Komory, bardzo się zdenerwowałam. Potem zdenerwowanie zamieniło się w strach. Taki strach, który rodzi się w żołądku i wywraca go na drugą stronę. Tato i Omar nie polecili samolotem linii Yemena, tak jak mama i ja.

Zdecydowali się na samolot należący do Ethiopian Airlines. Biorąc pod uwagę wypadek z 1996 roku – to chyba też nie są najbezpieczniejsze linie lotnicze, ale tym razem wszystko dobrze się skończyło. W drodze powrotnej mieli tylko dwudziestoczworogodzinne opóźnienie w Nairobi, gdzie przesiadali się na samolot do Roissy pod Paryżem.

Kilka dni po powrocie taty z Komorów Omar wręcza mi kasetę od Libouny. Zamykam się w swoim pokoju, żeby jej wysłuchać. Do dziś żałuję, że nie mogłam się zobaczyć z Libouną Selemanim Matrafim, już po uratowaniu. Widziałam go tylko raz – na oceanie, pośród wzburzonych fal, z kołem ratunkowym w ręce, kiedy zbliżał się do mnie. A dziesięć sekund wcześniej dostrzegłam go, jak skoczył z pokładu statku, i powiedziałam sobie wtedy, że musi być szalony, bo zaraz się utopi. Często w nocy próbuję przypomnieć sobie jego twarz, żeby go nigdy nie zapomnieć. To człowiek wyjątkowo skromny. Prawdziwy bohater, który nie chce nim być, nawet jeśli tego dnia spotkał się ze swoim przeznaczeniem. Włączam kasetę. Po pierwszych słowach rozpoznaję głos. Po raz pierwszy usłyszałam go w wodzie, na środku oceanu i do końca życia będę go pamiętać. Mam gęsią skórkę. Zaczynam płakać.

Oto co mówi Libouna:

„Dzień dobry, panno Bahiu. Nazywam się Libouna Selemani Matrafi. Uratowałem cię u wybrzeży Wielkiego Komoru. Chciałem się tylko przywitać i zapytać o zdrowie, i jak się czuje twoja siostra i bracia, oraz jak ci idzie nauka? Bahiu, dziękuję ci za to, że przeżyłaś. Dziękuję Bogu, że żyjesz. Do widzenia, Bahiu”.

Podziękowania

Specjalne podziękowania kieruję do Sophie Bottai, Francis Prudhomme, Jeana-Claude'a Gawsewitha i całego jego zespołu.

Jestem wdzięczny doktorowi Tazirowi, Roukii, Josephowi, ambasadorowi Lukowi Hallademu, pułkownikowi Mauplot, całemu personelowi Ambasady Republiki Francuskiej w Moroni na Komorach, rodzinie Azizy, mamy Bahii, oraz wszystkim mieszkańcom komoryjskiego miasteczka Nioumadzaha Bambao, którzy okazali mi wiele serdeczności.

Omar Guendouz